

~~WJ~~

WANDA MIŁASZEWSKA

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa Oświatowego
w Popiewicach

Katalogowy N

A 7063

Inwentarzowy N

3278

VENI CREATOR

NOWELE

25020



WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«



260706

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0126143

Wydłoczono w Zakładach Graficznych Instytutu Wydawniczego
„Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

14/294/01

12r

Polish Library Catalogue
w Koniewie
Katalogowy N
Inwentarzowy N 3278

SPIS RZECZY.

	Str.
1. LWY NA MARSIE	7
2. WALDI	13
3. PIERWSZY BLYSK	31
4. SANZITTA	51
5. KWIAT LOTOSU	61
6. JAK UMARŁ KSIĄDZ WAWRZYNIEC	67
7. VENI CREATOR	93
8. FEBRIS TYPHOIDALIS	105
9. NARZECZONA	119
10. PLAMA	153
11. GOBELIN	175

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa „Oświata”
w Poniewieżu

Katalogowy Nr.

Inwentarzowy Nr. *3278.*

LWY NA MARSIE

Polskiego ...
w ...
Katalogowa Nr ...
Inwentarzowa Nr. 3278.

LWY NA MARSIE.

Bożence Mataszewskiej.

I dorośli, zrównoważeni ludzie miewają czasem sny, godne fantazji dziecka.

Właśnie wczoraj nawiedził mnie ktoś w długiej, bajecznie kolorowej szacie, taki prawdziwy Stul-Powieki z bajek Andersena. Nie pamiętam już, czy miał ów słynny parasol, na którym wymalowane są pięknie te wszystkie sny, jakie ludziom przydarzyć się mogą... Nie pamiętam już, którą stronę tego parasola nademną roztoczył, ale pamiętam dokładnie, że potrząsnął dość energicznie moją osobą, tak, iż w okamgnieniu usiadłam na łóżku, mocno zdumiona niespodziewaną wizytą.

Król śpioszków zaś, — nazwijmy go Bajem, — rzekł do mnie głosem dziwnym, stłumionym, a jednocześnie dźwięczącym czarodziejsko, jak słyszane w dzieciństwie baśnie o smokach i królewnych zaklętych:

— Nareszcie zdarzyła mi się sposobność pogawędzenia z tobą. Zwykle śpisz twardo

i masz oczy otwarte tylko na rzeczywistość, a wiesz, że ta mnie nie zajmuje.

Poczem zaproponował mi uprzejmie, byśmy odbyli wspólnie małą wycieczkę po krainach marzenia.

— Będzie to wprawdzie dość daleko. Nie wiesz zapewne, że odkąd ludzie wpatrują się jedynie we własną duszę, niczem fakirzy indyjscy w kulę świecącą — i nadsluchują bicia własnego serca, jak ptactwo na tokach, — wszystkie dzieci Marzenia i Nocy przeniosły się na inne planety. Uczuły się niepotrzebne, a są zbyt piękne, by na nie patrzono z roztargnieniem.

— Bardzo mi będzie miło przypomnieć sobie dzieciństwo i trochę pomarzyć, — odparłam.

— Otóż to! Otóż to właśnie! — zachnął się Baj gniewnie; — w tych słowach tkwi cała poziomość wasza, ludzie z doby obecnej! Marzenie uważacie za przyjemną rozrywkę, a to jest POTRZEBA. Zeskorupieliscie, zmarnieli, zmaleli... Pelzacie po ziemi, przywarliście do niej wszystkimi atomami rozumu i serca! Wkrótce będziecie mieli tylko dwa wymiary!

— Cóż mi więc pokażesz, dobry Baju?.. — spytałam nieśmiało, prawdziwie skruszona i zawstydzona.

— Pokażę ci LWY na MARSIE, — odparł Baj po długiej chwili, gdyż popadł był w gorzkie zamyślenie.

Jakoż pokazał mi te Lwy. Były to rzeczywiście zwierzęta niepospolite zupełnie.

Wam, kochani moi czytelnicy, nie siłę się nawet opisać, jak wyglądały. Moglibyście posądzić mnie o chorobliwą wyobraźnię, a to byłaby dla mnie nader przykra diagnoza. Mogę was tylko zapewnić solennie, że Lwy były do prawdy niezwykle piękne i miały w sobie tak wiele rzeczywistego życia, iż z mojem odkryciem zwierzyłam się małej Bożence, która zwykle zachodzi do mnie na „dzieńdobry“ i na schrupanie czerwonej landrynki, zwanej przez nią „poziomeczką“.

Właśnie dziś rano przypadła taka wizyta.

Kiedy Bożenka wchodzi do pokoju, nie mogę się oprzeć złudzeniu, że słońce poczyną świecić jaśniej, a wszystkie stare, zniszczone sprzęty witają ją niedosłyszalnym, przyjaznym skrzyknięciem.

Przypatrując się z upodobaniem drobnej, różowej buzi, myślę zawsze, że na takie wielkie, ciemne oczy o długich, zawiniętych ku górze rzęsach, musiały złożyć się wszystkie dotychczasowe pokolenia niewieście, od Matki Ewy począwszy.

Po zwykłej ceremonii z powitaniem i cukierkami, odważyłam się na krok ryzykowny: wzięłam Bożenkę na kolana i opowiedziałam jej o Lwach na Marsie.

Opisywałam wszystko, wydaje mi się, że obrazowo i zajmująco, bo wzrok Bożeni utknął nieruchomo na jakimś świecącym przedmiocie z biurka, a małe nóżki przestały kołysać się w powietrzu.

Skończywszy, spytałam nieomal z lękiem:

— Cóż? Podobają ci się, Bożeniu, moje cudowne Lwy?

— Tak. — odparła.

Wówczas (podziwiam dotychczas swoją odwagę) dodałam głosem stłumionym ze wzruszenia:

— I chciałabyś tam pójść ze mną i zobaczyć to wszystko?

Bożenka spojrzała na mnie głębokim szafirem swych oczu, jakby rozważając uczynioną propozycję.

Poczem zsunęła się z moich kolan i wyszła z pokoju.

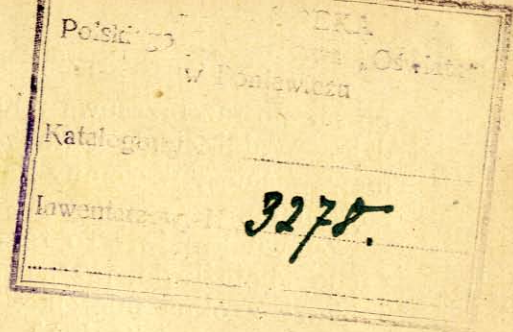
Pozostałam w niemem odrętwieniu i trwałoby ono zapewne dość długo, gdyby nie to, że Bożenia wróciła wkrótce, niosąc ostrożnie dużą, mocno uszkodzoną lalkę.

Podeszła blisko i podniósłszy pełną natchnionego skupienia twarzyczkę, rzekła do mnie:

— Lalusie nóżki bołą.

WALDI

WALDI.



Braterstwo niedoli.

Znajomy zgrzyt klucza w zamku. To Pan powraca. Waldi jednak nie wybiega naprzeciw z objawami radości. Jest rozżalony, tak rozżalony, że nie czuje potrzeby cieszenia się z czegokolwiek.

Ale oto Pan wchodzi do gabinetu. Waldi śledzi jego ruchy z pod oka, nieporuszony.

Dzwonek, stojący na biurku, wydaje ostry, przeciągły dźwięk. Do pokoju wchodzi służący...

— Pani w domu?

— Jaśnie Pani wyszła zaraz po obiedzie, —
— hrzmi uniżona odpowiedź.

— Możesz odejść. Aha, jeszcze jedno: czy pani pojechała powozem?

— Jaśnie Pani kazała powóz odprawić. Powóz czeka na rozkazy Jaśnie Pana.

— Dobrze, dobrze. Możesz odejść.

Lokaj znika. Pan przechadza się po pokoju. Musi być gniewny, albo zajęty myślami,

bo raz po raz przesuwając ręką po włosach i brodzie. Waldi ciągle trwa w pozycji nieruchomej, wcisnięty w ciemny kąt między biblioteką i otomaną.

Znowu kroki... To teraz wchodzi służąca. Cicho, bojaźliwie przesuwając się przez pokój i bierze z okna miotelkę.

— Pani wróciła już?

— Nie, proszę Jaśnie Pana, — bąka służąca, — Pani zapowiedziała, że nie wróci, aż wieczorem, i kazała opóźnić kolację.

— Pani wyszła z Waldim?

— Waldi został w domu, Jaśnie Panie... Musi tu chyba gdzieś być niedaleko...

— Waldi! — mówi głośno Pan, podnosząc brwi do góry.

Niema rady. Waldi podnosi się z wolna i wysuwa, jak cień, na środek dywanu. Szerść jego w sinawym zmierzchu wydaje się prawie błękitna. Ale wielkie oczy są przygasłe i smutne.

Służąca wyszła.

— Waldi, — mówi Pan łagodnie, — Waldi, chodź tutaj, Waldi...

Ręka Pana odruchowo przesuwając się po jedwabistej szerści. Waldi poddaje się z przyjemnością tej mechanicznej pieści. Biegły myśli Pana krąży gdzieś daleko, tak, jak serce Waldiego jest teraz całe w pokoju z błękitnem

makatami, tam, gdzie pod lampą, zawieszona nisko, kładą się plamy jasne na złotawych dywanach, a w mroku, wtulona w kąt kanapy, siedzi jego Pani, ta jedyna, ta ukochana nad wszystko i pomimo wszystko.

Ach, znaleźć się teraz obok niej, wtulić głowę w miękkie fałdy jej sukni, pod którą wyczuwa się pachnące, ciepłe, gładkie ciało... Ach, być przy niej, za jakąkolwiek cenę, choćby za cenę życia być przy niej, — lizać te białe, dobre rączki, rączki, które umieją być nie-miłosierne, ale są dobre, dobre, są nieodzowne w życiu, jak słońce i powietrze...

Waldi nie wie nawet, jak bardzo w tej chwili spotykają się ich myśli, — Pana i jego, — jak sobie są bliscy w niedoli, opuszczeni obydwa, samotni, tęskniący...

Ręka Pana spoczywa bezwładnie na głowie Waldiego. Bezwładnie, a przecież w każdym uderzeniu pulsu słychać wyraźnie głos tajemny, głos utajony, powtarzający raz po raz jedno słowo: niema, niema, niema... Waldi słyszy to słowo w sobie i wokoło siebie i czuje się bardzo nieszczęśliwy... A jednocześnie jest dumny, że ma współtowarzysza w smutku, niedoli, rozpacz...

I czuje Waldi, że nie przystoi mu okazywać głośno i jawnie swych uczuć, więc tylko leżąc opiera lekko na pańskich kolanach i trwa



tak, — Pan i pies, — w zadumie głębokiej bez rachuby czasu.

Waldi wie wszystko.

Nagle Pan podniósł głowę.

W pokoju panował już zupełny zmierzch. Zmierzch jesiennego wczesnego wieczoru. Ciemność zalegała wszystkie kąty i jedynie Wald widniał jeszcze, jak długa, szarobłękitna smuga na tle szerniałych w mroku dywanów.

Pan zdjął rękę z głowy Waldiego, powstał i zapalił elektryczne światło. W gabinecie stało się zaraz inaczej jakoś, mniej pusto i bardziej wesoło. Dywany zagrały znowu wzorzystą gamą kolorów, a Waldi zajaśniał na nich nieskazaną bielą.

— Chodź, Waldi, — rzekł Pan i wyszedł z pokoju.

Mógł nawet nie rzucić tego rozkazu, — Waldi nie opuściłby go teraz.

Cicho, w milczeniu przeszli szereg pokoi, Pan przodem, pies za nim. Wszędzie Pan zapalał światła i wszędzie zastawali pustkę.

Przed Jej pokojem Pan zatrzymał się, zapukał, — lecz zaraz, nie czekając, wszedł. Przy drzwiach stanęli obaj z Waldim i spojrzeli na siebie znacząco.

Bo i tu była pustka, tu także...

Otwarta szafa szczyrzyła półki cieniuchnej

bielizny, jak zęby w uśmiechu... Wszystko tam było porozrzucane, a na podłodze, przy toalecie, majaczyło coś... Waldi skoczył naprzód, — przypadł do tego przedmiotu — i zaskomlił...

— Nie rusz, Waldi, cicho! — rzekł Pan i zapalił światło. Była to malutka, koronkowa chusteczka, zmięta kochanymi rękami i rzucana w roztargnieniu.

I znowu Pan i pies spojrzeli na siebie.

— Gdzie Pani, Waldi, gdzie Pani? — rzekł wreszcie Pan głosem przyciszonym.

Wówczas Waldi jednym susem znalazł się przy drzwiach i skoczył na nie łapami. Teraz mijali znów wszystkie pokoje poświetlane i puste, ale już w innym wracali porządku: Waldi biegł przodem i skomlał, próbował otworzyć każde drzwi z klamki. W gabinecie Pan się zatrzymał. Stał i Waldi, bo drzwi do przedpokoju były szczelnie zamknięte. Waldi rozejrzał się raz i drugi i machał ogonem niecierpliwie.

— No prędzej, prędzej, nie mamy czasu do stracenia! — zdawały się mówić jego mądre oczy.

Ale Pan nie zwracał na niego uwagi. Otwierał kolejno ciężkie szuflady kluczykiem i szukał czegoś.

Waldi, zrezygnowany, powrócił i stanął

obok, z głową podniesioną. Wtem poczuł zimny, nieprzyjemny dreszcz: Pan wydobyl z szafady przedmiot niewielki, błyszczący i trzymał go przez chwilę w ręku nieruchomo.

Na widok tego drobnego przedmiotu, Waldi uczuł nagle szaloną, niepohamowaną chęć uciec, zaszyć się w jakiś kąt, jaknajdalej, jaknajdalej. Ale zawstydził się sam siebie, pozostał. Strzygł tylko uszami, a puszysta ogona przestała chwiać się w prawo i w lewo. Pan schował przedmiot do kieszeni i wyszedł wreszcie z mieszkania. Waldi zbiegł po schodach i czekał na dole, dziwiąc się opieszałości Pana.

Prędzej, prędzej! Przecież Ona tam jest, ja wiem, jest w pokoju błękitnym z lampą, zawieszoną nisko... Ulica — i jeszcze ulica... Ach, prędzej!...

W którymś miejscu Waldi gwałtownie począł wietrzyć, z pyskiem tuż przy ziemi. Tak. Tutaj zatrzymała się. Poznawał wyraźnie ślady stóp. Kamień chodnika zataił jeszcze w sobie ciepło jej stóp i delikatny ślad jej wykwinętego obuwia... Tu, tu była! Ona, Ona, Ona!...

Zaszczekał i całym pędem pobiegł naprzód, nie oglądając się na Pana więcej. Nie wiedział, że Pan biegł za nim, potracając ludzi. Nie rozumiał już, nie chciał rozumieć nic, prócz jednego, że Ją za chwilę zobaczy, przy-

padnie do Jej kolan, będzie lizał Jej ręce i stopy... Jakże dawno wybaczył Jej wszystko, cały żal, całą gorycz, cały smutek opuszczenia! Teraz miał jedno tylko pragnienie w swojej promiennej duszy: widzieć Ją, tylko Ją widzieć, — być przy niej!...

W bramie nie było rudego człowieka o fałszywych oczach. Waldi wbiegł kilkoma schodami na schody, stanął — i szczechnął.

Szczeknął krótko, radośnie, tryumfalnie! Za drzwiami dał się słyszeć szelest... Waldi skoczył na drzwi i wsparł się o nie przednimi łapami. Cekał. Tam, za drzwiami, zapanaowała znów cisza, ale Waldi słyszał wyraźnie przyśpieszony oddech swej Pani, a ciepłe prądy, płynące od jej postaci, przenikały mu ciało.

Z mrocznych schodów wyłoniła się sylwetka Pana. Wchodził wolno i zatrzymał się na przedostatnim stopniu, z ręką na poręczy.

Waldi czekał jeszcze. W duszy jego różnorodne uczucia poczęły toczyć z sobą gorączkową walkę. Dlaczego nie otwierają? Tam jest Ona! Waldi wie, Waldi wie wszystko! Ona stoi teraz, tak blisko, tak blisko i drży, — a ktoś obcy, ktoś wrogi Waldiemu, — tak, Ładny Pan, — tuli Ją ku sobie, ciśnie jej białe rączki do piersi...

Tego nie mogło przenieść jego biedne serce. Jęknął głucho, żałośnie, przeciągle... Jęknął i spojrzął na Pana, u niego szukając ratunku. Ale Pan nie zbliżał się do drzwi, nie wyjmował kluczy, — stał ciągle nieruchomo, jakby przykuty niewidzialnym łańcuchem do lśniącej poręczy schodów. Ruchem ręki tylko nakazał Waldiemu milczenie.

Wtedy — w sercu Waldiego wezbrała rozpacz, niemająca nazwy. Poczul się sam, sam opuszczony nazawsze, wzgardzony przez Nią... Poczul, że nic nie waży w jej życiu, skoro nie otworzono mu drzwi i nawet nie nakazano wracać do domu. Nie jęczał już, nie wył. Ostatnim wysiłkiem woli opuścił przednie łapy na podłogę z powrotem i stał, z głową pochyloną nisko, z oczyma przygasłymi, nieruchomy, nieczujący, pół martwy.

— Chodź, Waldi...

To Pan, zerwawszy łańcuch niewidzialny, począł iść zwolna w dół, w mroczną otchłań schodów.

Nie podnosząc głowy, pies szedł za nim. Nie dziwił się już temu, że wracają tak samo samotni, jak przyszli... Ach, stokroć bardziej samotni, z pustką w znękanych sercach, pustką, której nic już zappełnić nie zdoła.

Teraz Waldi, który wie wszystko, zrozumiał, że najstraszliwszem, wszystkoniszczącym

uczuciem jest rezygnacja, bo po niej nie powraca nic, nawet nadzieja...

Straszny przedmiot.

W ciszy wieczornej, od strony schodów dobiega lekki szelest sukni kobiecej. Ktoś wchodzi szybkimi, nerwowymi krokami po stopniach, zasłanych dywanem. Wchodzi, zatrzymuje się, jakby dla nabrania oddechu — i znowu wchodzi.

Waldi dziwi się sam sobie, że nie ma siły wybiedz naprzeciw z radosnem szczekaniem...

Drzwi otwierają się cicho... Waldi, który na chwilę tę czatował godziny, długie jak wieczność, wysuwa się naprzód...

I staje. Staje z niemą prośbą w oczach... Jeden ruch, jedno spojrzenie, a gotów rzucić się do stóp najdroższych i jeszcze raz, jeszcze raz pochwycić szczęście!...

Ale postać, otulona w ciemny płaszcz futrzany, mija go z obojętnie — ach, nie... z wrogo odwróconą głową.

Waldi posuwa się za nią, jak cień. Czyni to tylko odruchowo. Właściwie — Waldiego nie ma, Waldi nie istnieje... Jest tylko białe, miękie futro, napelnione czemś, jakąś masą nieczulą, nieczulą na wszystko. To futro osuwa się na ziemię w pobliżu ściany i leży tam, martwe. Tylko oczy, jakby nie należały do

Waldiego, widzą jeszcze. Widzą, jak Pani zdejmuje powoli płaszcz, stojąc na środku pokoju. Płaszcz, nieprzytrzymany, pada cicho na ziemi i opływa smukłą, jasną postać...

Potem — Pani rozplata długie, pachnące włosy. Pokój napelnia się cudownym aromatem fiołków leśnych i Waldi czuje, że pozostał mu nietylko oczy... Za każdym poruszeniem grzebienia włosy wydają cichy szelest, a powietrze trznią przestrzenią płynie ku Waldiemu ów aromat cudny, jedyny i powoli wsiąka w zmartwiałe, nieruchome członki. Teraz Waldi czuje wyraźnie niezliczoną ilość drobnych nitczek, łączących go, mimo przestrzeni, która ich dzieli, — z Panią.

Są razem, są razem... Waldi wczuwa się w każdy atom jej skóry, choć nie ma siły, aby się podnieść i przybliżyć.

Z kolei opada suknia i Pani stoi teraz jak biała, smukła kolumna pośród falistej wysepki. Mały zegar, stojący wysoko, wydzwania srebrnym głosikiem swoją piosenkę: Raz, raz, raz...

Na głos ten, Pani wznosi ręce ku oczom, wysuwa stopy z miękkiej wysepki i klęka na ziemi, przy łóżku, z głową, wtuloną w koronki pościeli.

Odgłos kroków dalekich zamaca ciszę, ale jej nie płoszy. Nie płoszy jej nawet zgrzyt

lamki. Niewielka lampka nocna w błękitnych osłonkach daje tak mało światła, że widać w mroku tylko twarz Pana. Twarz ta jest bardzo blada, a wyraz oczu śmiertelnie smutny... Wszystko to wydaje się prawie zjawiskiem tak mało ma z jawą wspólnego, że ani Ona, ani pies nie podnoszą głowy.

Ale postać Pana nie znika, choć trwa wciąż nieruchoma w obramowaniu drzwi. Z ust Pana padają słowa, jakieś pytanie...

Waldi nie rozumie go, patrzy tylko wyczekująco na Panią.

Słowa padają znowu te same. I znowu odpowiada im cisza.

Wówczas sylwetka Pana wylania się z mroków. Głos dzwięczy mocniej i groźniej. W potoku słów, Waldi wylawia uchem znajome dźwięki... Słyszy i swoje imię, powtórzone z uporem, kilkakrotnie... Głos potężnieje, — to już nie dźwięki znajome i kochane, to Straszny Głos, huczący, jak piorun, — głos, w którym brzmi Groźba i Kara, — zapowiedź burzy, zniszczenia, śmierci!...

I znowu cisza... Waldiemu szerść poczyną jeżyć się na ciele, nozdrza wietrzą Grozę i Śmierć, — żywioł niszczący! W ciszę pada jedno jeszcze słowo, miazdzące, potworne... Na dźwięk ten Pani zrywa się, staje wyprosto-

wana, z głową, wzniesioną do góry... Wald. powstaje także, gotów na wszystko.

— A więc tak! — woła Pani, — tak, tak, tak!...

Wtem dzieje się rzecz straszna: oczy Pana cisnęły błyskawice, a w rękę zamigotał ów straszny, mały przedmiot, z którego wnętrza wyziera Groza i Śmierć. Ręka Pana, ręka z tym strasznym przedmiotem podnosi się, podnosi ku górze, — mierzy wprost w Panią, w oniemiałe usta, w zastygłe z przerażenia oczy...

Tego Waldi przenieść nie może. Jak błyskawica rzuca się pomiędzy nich, — roztrąca, dosięga ręki, szarpie...

Pysk jego napelnia się w jednej chwili dziwaczną mieszaniną krwawego ciała i odzieży... Krew zalewa mu oczy... Waldi odskakuje na chwilę, by z nową furją rzucić się na Wroga. — — —

Wtem przed oczyma błyska mu, poprzez mgłę krwawą, straszliwa lufa, z której wyziera Groza i Śmierć... Huk nagły wstrząsa powietrzem...

Waldi dostrzega jeszcze, że postać Pana poczyną śmiesznie wirować... wirować... Cały pokój zatacza czerwone i czarne kręgi, wreszcie wszystko ustaje zwolna i tylko Waldi leci

otchłań, w bezdenną otchłań, gdzie wszystko t czarne...

Waldi odchodzi.

Poprzez otwarte rolety wsacza się światło kitnawe.

W pokoju jest chłód i dziwny, dziwny zach. Krew... i coś jeszcze... Zapach ostry, miły, taki, jaki bywa w pobliżu aptek.

Waldi odmyka powoli przygasłe oczy. Cała głowa jego ciała jest martwa. Waldi stara się zatoczyć wzrokiem szerszy krąg — i widzi swoje przednie łapy, leżące nieruchomo. Reszta pokoju tonie jeszcze w mroku wczesnego ranka.

Waldi stara się zebrać wspomnienia. Co to? Co to było? Czemu tak jakoś dziwnie, obco w nim i wokoło niego? Na jasnym dywanie ciemnieją wilgotne, rude plamy. To krew. ...Waldi stara się odwrócić głowę od tego widoku, ale nie może. Głowa znieruchomiała, przyrosła do posłania, stanowi z niem jedną, nierozzerwalną całość...

W oddali, w głębi domu słychać kroki. Waldi przymyka oczy. Jest obojętny na wszystko zzewnątrz, obojętny na cały świat... Świat cały zresztą zawiera się dla niego w jednym uczuciu: spokój... Waldiemu robi się błogo na myśl, że ten spokój trwa w nim i będzie trwał zawsze, zawsze...

Tylko ten zapach... Waldi czuje, że mu zasycha w gardle i krzepnie coraz bardziej jakaś masa niemiła, lepka, obca... Chciałby poruszyć szczękami, ale nie może... Nie może też wydać głosu. Oczami tylko szuka czegoś...

Ale pókój jest pusty. Waldi widzi wciąż przed sobą własne, wyciągnięte nieruchomo łapy i to mu wreszcie brzydną. Chciałby złożyć te łapy inaczej jakoś, schować je na przykład pod siebie... Z wysiłkiem porusza jedną z nich — i czuje straszny, przejmujący ból wskroś ciała...

Oczy zalewa mu znów mgła czerwona...

Z głębi mieszkania dochodzą ciągle przyciszone rozmowy... Wydaje mu się nawet, że rozróżnia głos Pani, mówiącej coś stłumionym szeptem, głosem białym, matowym...

I nagle czuje Waldi, że go porywa szalona, niepohamowana tęsknota! Chciałby za każdą cenę zwlec się stąd, doczołgać ku drzwiom, nie być sam, — być przy Niej!

Ona... Waldiemu oczy mgłą zachodzą raz po raz i nie rozróżnia już, kiedy Ją widzi naprawdę, czy w tej mgle szarawej, zasnuwającej wzrok nieustannie, — czy na tle obić matowych, w błękitnym świetle poranku?...

Wie tylko jedno: że serce się ku Niej wyrywa, że pragnie Ją mieć blisko, blisko, słyszeć Jej głos cudowny, lizać Jej ręce...

Widocznie Waldi nie rozróżnia już rzeczywistości od zjawy, bo oto leży nieporuszony i patrzy mętными oczyma na ubóstwianą postać swej Pani... Nie słyszy już nic i prawie nie widzi, że postać ta klęka tuż przy nim, a usta rozchylają się w żalnym szepcie:

— Waldi... Waldi...

Czuje tylko ostatnim drgnieniem swej świadomości, że Ona tu jest, że klęka w kałuży krwi przy nim, — że twarz ku niemu pochyla... Ostatnim też wysiłkiem woli stara się Waldi podźwignąć głowę nieruchomą, dosięgnąć rąk najukochańszych... — przeprosić za wszystko... I za te plamy krwawe na dywanach i za to, że więcej nic już dokazać nie może, nic więcej... A chciałby jeszcze tyle... tyle...

— Waldi...

...i nie widzi już, że pożegnalne pieszczoty jego znaczą krwią świeżą białe rączki Pani...
...Waldi odchodzi...

PIERWSZY BŁYSK

PIERWSZY BŁYSK.

Mamusia, otulona w płaszczyk podróżny, pełnem niewysłowionej radości spojrzeniem pieści jasną, krótko strzyżoną czuprynę i raz po raz piękną swą, wypieszczoną rączką dotyka to ramion jedynaka, to jego kragiej, dziecięcej jeszcze buzi, przybladłej nieco po trudach roku szkolnego.

A Jurek siedzi milczący i skupiony. Wzrok jego ślizga się po grzbietach dziarskich tarantów (na jego cześć zaprzężono dziś tę czwórkę!) to znowu szuka twarzy maminej i wówczas rozjaśnia się, rozpala snopem jakichś radosnych, od wewnątrz idących promieni.

Wczorajszy deszcz zmył z drogi kurz wszelaki, powietrze jest tak cudownie przejrzyste, że na dziesięć mil wokoło dojrzałbyś każdy krzaczek przy miedzy, gdyby tylko okolica nie była taka falista. Ale tu, w tych stronach, to tylko wzgórze i wzgórze. Ledwoś przejechał jedno, — wyrasta nowe, jak z pod ziemi,

i horyzont ci napół przysłania... A potem nowe — i znów nowe — i tak ciągle. Droga wiję się, wspina i spływa ku dołowi, niby jasna, falująca wstęga na połyskliwej, aksamitnej sukni. W tej porze roku wszystko jest jeszcze zielone, poczawszy od łąk nieskoszonych, skończywszy na polach, pokrytych niedojrzałym zbożem.

— Mamo, — szepnął nagle Jurek, gdy już dość długo jechali w milczeniu, — Mamo! To już zaraz, za tą górką, Darniówka... Prawda, mamusiu?

Mamusia potakuje głową radośnie, nie mogąc wydobyć głosu z zaciśniętej od szczęścia krtani. Ale tyle jest w tem potakiwaniu wyrazu, że Jurek już wytrzymać nie może: — rzuca się ku matce, obejmuje ją silnie ramionami, ściska i całuje (po raz już który to dzisiaj?), nie zważając nawet, że woźnica Mateusz uśmiecha się pod płowym wąsem z tych paniczowych wybuchów czułości.

— Więc... powiedziałaś, mamusiu... Wszystko jest tak samo?... tak samo...

Jurka ogarnia rozróżnienie coraz to większe na myśl, że już za chwilę zobaczy rodziną, ukochaną wioskę, dwór rozłożysty, ganek bielony... A potem stajnie (stara kasztanka, ta, która wodę wozila, zdechła w jesieni...), śpichrz, a potem stawy, łąki, las i strumyk

i wszystko... Wszystko, co zna tak dobrze, co pamięta zawsze, co widzi nieustannie, chociażby oczy przymknął.

I nagle Jurkowi z tego rozróżnienia czyni się na duszy tak dziwnie, że prawie smutno...

— Wszystko tak samo, tylko ja jestem starszy, — inny... Ja jeden.

Ale chmurka przeszła, bo oto Mateusz, trzasnąwszy z bata, co się zowie, z rozmachem, zatoczył szeroki krąg wokół gazonu i osadził konie przed gankiem.

— To już! — wyrwało się Jurkowi z całej duszy i wyskoczył z powozu tak gwałtownie, że się aż zaplątał w mamin kraciasty pled i omal nie upadł.

Wszyscy tam byli: Stara, pomarszczona, jak nadwiędłe jabłko, Malwina, — i gruba klucznica — i mały chłopak stajenny, Jaś — i całe stadko bosonogich, rumianych i czerstwych dziewcząt czeladnich, które z chichotem tłumionym, chrząkaniem, chlapaniem i poszeptywaniem, w pas się paniczykowi skłoniwszy, jęły śpiesznie z powozu i z bryki zdejmować walizy i pakunki.

— Panycz!... Mój paniczek złoty! Ot, jaki duży, jak wyrósł... Taż ja jego na rękach nosiła, a teraz, jaki to z niego mężczyzna!... Gdzie Jaśka przerósł — i Olutka! Oj, panycz, ślicznieńki, kochanieńki!

To stara Malwina wykrzykuje swoim chrapliwym dyszkancikiem, zdejmując z „panycza“ okrycie, a klucznica, z twarzą, jak miesiąc w pełni, dopowiada swoje:

— Wijadomo, mijasto: tam domy wijelki, ulicy wijelki... To i wzrost do góry podcjaga!

Pani Darnowska kładzie jednak kres czułościom, rzuciwszy temu i owemu rozkaz, na pomnienie, wymówkę:

— A pokój przygotowany? Podwieczorek czeka? Czy Malwina nie zapomniała, że panicz najwięcej te białe czereśnie lubi, te, co to zaraz w sadzie od dróżki... A czemu ty, Jewka, ustawisz się i gapisz się, miast co żywo skoczyć i mleka z ostatniego udoju paniczowi przynieść? A?... Ej, Hanka, rzeczy panicza do pokoju wnieść i wypakować, — a ruszaj się prędzej!...

Już się całe stadko rozpierzchnęło w okamgnieniu; pozostały tylko dwie totumfackie.

Malwina ciągle głową potrząsa z podziwu i raz po raz, starym zwyczajem, żółtą, szorstką ręką po jasnych włosach swego „panycza“ przesunie, a klucznica mruczy coś pod nosem, a „ocjaga się“ z pójściem do spiżarni.

Wreszcie upatrzyła chwilę i paniczowi w ucho:

— A berberysu słoik ja zostawiła, a ja—akże! I wiszni jeszcze jest... i tych konfitur

z czarnych porzeczeków, co to panycz najbardziej lubi... Pamiętała ja i zostawiła... W pieczurce u mnie stoi, — na paniczka czeka, ot, co!

— Dziękuję, dziękuję, moja kochana pani Steckiewiczowa! Dziękuję, dziękuję! — woła Jurek już z głębi sieni.

A tam, w pokojach, nowa radość, nowe niespodzianki! Stary zegar z kukułką, ten, co to jeszcze Napoleonjadę pamięta, — wyreperował w zimie ekonom. Pomajstrował coś, poszturchał sprężynki i ot, — zegar, jakby na powitanie Jurka, wykukał akurat szóstą...

Portrety patrzą ze ścian tak samo, jak dawniej, a jednak... Jurek rozgląda się zdumiony: Wszystko znajome, a jakby po raz pierwszy w życiu widział ten pokój wielki, z sufitem belkowanym... Staroświeckie meble, stół okragły na rozłożystej nodze, zakończonej lwiami pazurami, te sprzęty, z którymi zrósł się od dzieciństwa, które pamiętał z czasów, gdy jeszcze nazwy ich wypowiedzieć nie umiał, — wszystko to inne jakieś, mniejsze jakby, nie takie świetne, nie takie surowe...

Jurek ogląda sprzęt każdy po kolei i rośnie w nim to dziwne rozrzewnienie, którego doznawał od pierwszej chwili, od chwili, gdy konie Darniowskie na stacji zobaczył.

Kominek z odlupanym kawałkiem gżemsika

także napozór ten sam, a przecież różny od dawnego... Kiedyś, bodaj, zeszej wiosny to było, nabił sobie Jurek o ten gzems właśnie potężnego guza. Mimowoli, podchodząc do kominka, chłopiec odchylił głowę, przez ostrożność — i spostrzegł, że jego czoło, ba! broda nawet, wystaje, gdzie, ponad niebezpiecznym kantem!

— Jak ja urosłem, mamó! — szepnął, do matki się przytuliwszy, a głos mu zabrzmiał cicho i prawie wstydliwie.

— O tak, Jerzyku! Prawdę mówiła Malwina... Dopiero tu, w tym pokoju i ja widzę, jak mi cdmieniło miasto mojego synka, mojego małego chłopczykę... Ale kochasz mamusię tak samo i — prawda, — dla mnie zawsze będziesz ten sam?... Mały Jurek...

W głosie mamy zadrżał jakby tajony smutek, więc się Jurek mocniej przytulił do tych ramion kochanych, które, jak nic na świecie, umiały utulić jego dziecięcą głowinę zawsze, zawsze, od niepamiętnych dla niego czasów.

* * *

Nad łóżkiem wisiała śliczna, nowiutka dubeltówka i na nią padł wzrok Jurka, gdy się nazajutrz obudził, wypoczęty i wesół, jak nigdy.

— Jestem w domu! Jestem w domu! — powiedział prawie głośno i upajał się treścią tych słów. Chwilę jeszcze leżał, przymknawszy oczy, ale wnet je otworzył znowu, bo za oknem otwartem furknął wróbel i siadł bliźutko, na cienkiej gałązce jaśminu.

Jurek wyskoczył z łóżka i począł się ubierać pośpiesznie. Ile to radości czekało na niego tam, za domem! Najpierw: — obejrzy gospodarstwo, potem... Ach, mniejsza, co potem! Znajdzie się tyle, tyle rzeczy ciekawych! Szkoda, że teraz polować niema na co!

— Która to może być godzina? — pomyślał Jurek, patrząc przez okno. Godzina musiała być bardzo wczesna, bo w domu panowała cisza i tylko w oddali, za ogrodem, słyszał było nawoływania pastuchów, pędzących bydło.

Nie chcąc budzić matki, chłopiec wyskoczył przez okno i w mgnieniu oka już był w sadzie. Na liściach błyszczała jeszcze rosa poranna, choć słońce weszło wysoko. Jurek uszczknął mimochodem kilka czereśni z ulubionego drzewka i pomknął w głąb sadu. Przez małą furtkę przedostał się poza obręb ogrodu. Był w polu.

— Jak cudnie, jak cudnie! — myślał chłopiec, wciągając w nozdrza świeżą woń poranku. Przyszła mu nagle ochota zerwać się i biedz, biedz bez wytchnienia, — więc zerwał się

i biegł tak długo, aż mu tchu w piersiach zabrakło. Dopadł właśnie do skraju lasu i rzucił się na miękką trawę.

Teraz miał nad sobą niebo przeczyste i kilka wiotkich gałązek leszczyny, pokrytych młodemi liśćmi. Przypomniawszy sobie dokładnie, jak kiedyś niania mówiła mu, że takie młode, leszczynowe listki dobrze goją rany... Ileż to razy później przyklejał kragle listeczki na miejscu licznych skaleczeń, których kolanom jego, tydkom i rękom nigdy nie brakło.

Co to były za szczęśliwe czasy! Jedyne Jurka strapienie powodowały dni sloty i dni choroby. Miast w twardych, szkolnych ławkach, przesiadywał na drzewach w ogrodzie. Las, łąka, ogród były mu jedyną szkołą... Umiał chodzić po drzewach, jak małpa, i nawet wybierać ptakom jaja z gniazd. Ale tego nigdy nie czynił, a nawet bił wiejskich chłopaków, którzy wykradali jaja sikorom i makolągwo. Świerszcze dzwoniły w trawie i kiedyś mu się zdawało, że przedrzeźniają jego imię: „Ju — re — tszszek... Ju — re — tszszek...” Któregoś dnia żabka zielona wskoczyła mu sama do kieszeni fartuszka... Zakrył kieszeń ręką i przyniósł żabkę do domu.

Jak zabawnie potem wdrapywała się na drabinkę, którą sam zmajstrował z brzoźowych gałązek i wstawił do słoika!...

Po ścieżkach ogrodowych, rankiem, pełzały duże ślimaki, dźwigając swoje śmieszne, spiralne domki na grzbiecie! Kłękał na piasku i bawił się godzinami, czatując na chwilę, w której ślimak rogi wysunie, by dotknąć końcem palca komicznego, czarnego punkciku... Ślimak chował pośpiesznie swoje macki, — czasem obie naraz, a czasem tylko jedną. Potem Jurek powtarzał w myśli:

Ślimak, ślimak, pokaż rogi!
Dam ci ciasta na pierogi...

I zaczynało się to samo.

Wielkie psy podwórzowe знаły go i lubiły. Na czarnym wyśle, imieniem Rex, usiłował się nieraz przejechać konno, mimo energicznych protestów pocziwca. Ileż to razy wpadł w pokrzywy, goniąc jakiegoś niezwykłego motyla, albo był pogryziony boleśnie przez pszczoły, gdy się przyglądał, jak to stary Matwiej miód wybiera! Wracał potem zabeczany do domu, gdzie mama przykładła mu wilgotną ziemię na opuchnięte miejsca, a Steckiewiczowa przynosiła kawał wyborowego piernika... żeby się Jureczek przedrzył pocieszył!...

W pogodne dni zimowe lepił przed domem wielkie bałwany ze śniegu i wtykał im w usta fajeczki, zrobione z szyszek, których miał zawsze pełne składy. O zmierzchu zasypiał na

kolanach starej Malwiny. Ogień trzeszczał na kominku, a Malwina swoim zabawnym głosem opowiadała zawsze te same bajki...

Nie pamiętał potem, jakim sposobem znajdował się w łóżku. Czuł tylko w pobliżu obecność mamy, składał usteczka do pocałunku, gdy pochylała się nad nim, i było mu nieskończenie dobrze. Czasami w nocy wicher wyl przeraźliwie. Wówczas robiło mu się straszno i wołał mamy. Zawsze, zawsze ktoś był w pobliżu, więc strach przemijał. Kiedyś usłyszał w czeladniej, że wicher tak dziko wyje, gdy się człowiek jaki powiesi, więc potem codziennie modlił się żarliwie, aby się żaden człowiek więcej nie wieszał...

Powodów jednak do smutku było niewiele, tak, że całe dzieciństwo Jurka płynęło, jak jasna smuga, prześwietlona słońcem.

W lecie skończył dwanaście lat i oddano go do szkoły. Korepetytor oświadczył, że Jurek wybornie jest przygotowany do trzeciej klasy. Jakoż uczył się dobrze, chociaż w klasie był jednym z najmłodszych. Miał już takich kolegów, którzy golili się prawdziwą brzytwą. Inni, młodszy trochę, skrobali górną wargę scyzorykiem zawzięcie, aż do krwi. Jednym i drugim zazdrościł Jurek nietyle wąsów, co obeznania z życiem szkolnem, ze światem.

Zazdrościł im, że mieli zawsze ręce uwalane

atramentem i że chętnie się paleniem papierosów w tajemniczych ubikacjach szkoły. Brzydził się brudnymi rękami, a dym papierosowy przyprawiał go o mdłości. Przytem — było jeszcze jedno, czego im Jurek zazdrościł. Właściwie — nie zdawał sobie dobrze sprawy, na czem to polegało, ale czuł instynktownie, że ci wszyscy chłopcy brudni, hałaśliwi, nieuki nawet, — w pewnych dziedzinach są wyżsi od niego. Z kilku urywkowych rozmów wnioskował, że oni coś wiedzą o życiu, o czem on, Jurek, nie ma najlżejszego pojęcia.

Dreńczyło go to w sposób niesłychany, a był zanadto ambitny, aby się przyznać, że czegoś nie wie, czy nie rozumie.

Któregoś dnia jeden z kolegów (taki, co usiłował golić wąsy scyzorykiem) spytał go z miną wielce osobliwą, jak się wogóle on, Jurek, zapatruje na kobiety.

Jurek zrobił wielkie oczy:

— No, z tem, co wiesz... — objaśnił kolega, mrużąc jedno oko i chichocząc w sposób zjadliwy.

— Ach, tak... No, thak! — odparł Jurek, usiłując twarzy swej nadać wyraz pełen znużenia.

Idąc do szkoły, widywał nieraz pewną dziewczynkę, pensjonarkę. Koledzy nazywali ją między sobą po imieniu i kilkakrotnie Jurek

słyszał o niej, że to „Dobry numer i bycza facetka“. Począł się bacznie tej Andzi przyglądać, ale nic tak dalece szczególnego w niej nie zauważył. Szczegółowo zaś wypytując kolegów nie chciał. Czuł instynktownie, że między nim a tymi wszystkimi chłopcami z miasta leży jakaś wielka przepaść, a na dnie tej przepaści są tajemnice niezwykle, może i niemiłe, wogóle rzeczy takie, o których on nic wyraźnego powiedzieć nie mógł.

Z kolegami żył w przyjaźni, ale z daleka. Nigdy, nigdy nie zwierzył się im z czegoś, co obchodziło choć trochę jego serce i duszę. Wyczuwał, — że i w tem dzieli go od kolegów zbyt wiele, by mogli go odczuć i zrozumieć. Miał jedną przyjaciółkę tylko: matkę. Jej postanowił zatem zwierzyć się z tych wszystkich wątpliwości swoich, ale do wakacji było daleko, a wątpliwości rosły.

Z tem wszystkiem Jurek czuł się czasem bardzo nieszczęśliwy, bardzo opuszczony i bardzo tęsknić począł za domem. Wierzył, że gdy powróci do domu, wszystko tamto niejasne, zagadkowe, wszystko, co sprawiało, że czuł się nieswojo, pierzchnie odrazu.

I pierzchno. Już podczas jazdy powozem nie, jeszcze przedtem, na stacji, w ramionach matki poczuł się dawnym, beztroskim Jurkiem, który do wszystkich się uśmiechał — i do któ-

rego wszyscy uśmiechali się przyjaźnie i z miłością. Strząsnął z siebie naleciałości miejskie, jak ptak otrząsa z piórek krople deszczu... Był znowu rzeźki i pogodny.

A jednak nie zdołał otrząsnąć się ze wszystkiego. Jak cienka, szara nitka, przewijały mu się przez głowę te myśli niejasne, których nawet określić nie umiał... Postanowił zwierzyć się matce... Ale jak? Z czego? To, co mówili koledzy, było takie nikłe, takie nieuchwytnie! On sam, o ile możliwości, skracał, przecinał owe rozmowy, bo go męczyły, bo się ich jakby wstydział.

Jak spytać naprzykład mamę, co ona sądzi o kobietach... I jeszcze „z tem, co to wiesz...“ Przecież ona sama jest kobietą, a o kobietach sądzili chłopcy, jego koledzy, mężczyźni.

Niebo zszarzało Jurkowi, gałązki leszczyny wydały mu się mniej świeże i jasne... Co to? Czy ta męcząca „nieswojość“ zdołała przeniknąć aż tutaj, zaćmić mu jego radość, taką obzrymą radość z życia, z tego, że znowu powrócił do domu... Ach, on jest, on chce być znowu tym dawnym, małym chłopczykiem, którego mama gładziła miękką dłonią po buzi, którego stara Malwina opowiadała godzinami bajki...

Szelest leciuchny wyrwał go z zamyślenia. Siadł i rozejrzał się. Tak, poprzez gęstwinę

krzaków prześwieca kraśna spódnica. Słysząc szepty, rozmowę... Mimowoli Jurek wyteżył słuch:

— Pajdzi, Rozalka, na tamtą polanę! — mówił głos młody i jędrny.

— A jak nie pajdu, to i co mi zrobisz, a? — odpowiedział głosik cienki i piskliwy.

Jurek poznał Rozalkę od krów.

— Mało ja się nachodził? Mało paciorków nanosił, co? — mruczał gniewnie pastuch, którego Jurek nie mógł dojrzeć w zaroślach. — Jaby tobie i co lepszego przyniósł, kabys ty była lepsza, Rozalka...

— Wincus! Ja bajusia! Karowa jedna, albo i druga u szkodę wlezie, to i co później? A niech kto padhlanie nas...

Teraz mógł Jurek dojrzeć i drugą postać. Był to barczysty, tęgą parobek z płową czupryną, spadającą mu na oczy. Chwycił Rozalkę wpół i trzymając mocno, mówił gniewnie, chyląc się ku niej:

— A w ta pore, w szopce, nie moh padhladzieć? A za stadolaj nie moh padhladzieć? A teraz „bajusia, że karowa u szkodę palezie“!...

Nagle dziewczyna zobaczyła Jurka i krzyknęła stłumionym głosem:

— Wincus! Panycz! Tu panycz u trawie leżyć! Biehi, Wincus!...

W mgnieniu oka chłopak zniknął w zaroślach, zanim jeszcze Jurek zawołał:

— Rozalka!

— To ja, panyczu... — odparła, powoli się zbliżając, niezadowolona jakby i zmieszana, — A panycz na rosie leży... To niedobrze.

— Czego on chciał od ciebie, Rozalka?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Et, paniczku...

— No, powiedz, — nalegał Jurek, — czego ten Wincus chciał od ciebie?

— Czego chciał... wiadomo... Co każdy parobek, wiadomo, chciałby... Ha ha! — roześmiała się. — Durny taki! Myśli, że koli chce, toli może, a!...

Spojrzała na chłopca badawczo i nagle przykucnęła obok na trawie.

— A panycz tak rano zerwał się... i w lesie siedzi, na mokrej trawie... To niedobrze. Tam i mama niespokoi się...

— Mama nie wie, gdzie jestem. Powiedz mi, Rozalko...

— To niechaj panycz choć tu przysiedzie... — mówiła dalej Rozalka, rozkładając szeroko spódnice. — Panycz wczera przyjechał i sztuki dokazuje, ot co!... No, proszę ja panicza sieść, i tak, wygodnie. Spódnica gruba, nie przemoknie. Sama tkęła w ta zima...

— Co on chciał od ciebie? Co on mówił? Powiedz, Rozalko... No, mów zaraz!

W oczach dziewczyny zamigotały figlarne błyski:

— A panycz, jaki ciekawy! Zaraz pyta, dopytuje... Czemu dopytuje? Niby panycz nie wie...

— Jurek się zmieszał, ale natychmiast odparł gniewnie:

— Nie wiem... no to co.

Rozalka uśmiechała się coraz wyraźniej.

— Panycz taki duży i nie wie... Większy, gdzie, o pół głowy, od mego brata, Olutka... I nie wie? A jak nie wie, to poco pyta... Ej, panycz!...

— Więc ty mów, Rozalka, mów!

— A jak nie powiem? — potrząsnęła głową przekornie i pochyliła się naprzód. Biała koszula na piersiach rozsunęła się nieco. Jurek zobaczył w tem rozsunięciu piersi dziewczyny. Ciało jędrne i sniade. War go oblał. Doznał niewypowiedzianego uczucia wstydu, ale się przemógł. Coś go pchało ku tej dziewczynie, coś mu kazało pytać, być natarczywym... Zapomniawszy już dawno, od czego się to wszystko rozpoczęło. Zapomniawszy, o co pytał. Serce mu biło mocno... Ręce drżały. Lewe ramie wyciągnął nagle i opasał niem szyję Rozalki.

Zbliżył twarz do jej twarzy i powtarzał jej, tuż przy ustach, wkółko, nieprzytomnie:

— Powiedz, Rozalka, powiedz, powiedz, powiedz...

— Panycz... Paniczku złocienki... no co? Co ja powiedzieć mam?... A, jakie panycz ma ładne włosy... mięciutkie, jak len wyczesany... Panycz ładny, ślicznieński... A będzie panycz lubił Rozalkę, jak powiem?

— Tak! Tak! — szeptał Jurek i z całej siły przytulił się do niej.

— No to... ja powiem... Ten Wincus, to on mię chciał pocałować... Ale on taki durny, prosty cham... Nie to, co panycz... panycz...

Jurek drżał na całym ciele. W głowie poczęło mu kołować. Gałązki leszczyny chwiały się nad nim — i nie tylko gałązki się chwiały... Chwiały się sosny rosochate, chwiały się pnienie... Kołysała się cała ziemia, aż po widnokrąg. Ciało Rozalki pachniało sianem. Od jego woni Jurkowi stawało się naprzemian gorąco i zimno, gorąco i zimno... Prawie już nie rozumiał, co się wokół niego dzieje i gdy Rozalka mówiła dalej (głos jej dochodził, jakby z bardzo daleka, jakby z pod wody), przytulał się do niej coraz mocniej, prawie się wpijał w jej szyję rękami. A Rozalka szeptała cicho:

— I panycz chciałby całować Rozalkę... Panycz, mój mały, kochany panycz...

Zdaleka, od strony ogrodu, dobiegło nagle
głośnie wołanie:

— Jurek!

I zaraz potem, ostrzej:

— Jerzy!

SANZITTA

4*

SANZITTA.

Sanzitta usiadła na łóżku. Jej wielkie, nieprzytomne jeszcze ze snu oczy poczęły błąkać się w bladym półmroku. Tak, nie omyliła się... Sen stawał się jawą, jawą tak straszną, że powieki oczu Sanzitty, ciężkie powieki o rzęsach długich i ciemnych, zadrgały i znów opadły w dół, kryjąc przed wzrokiem straszliwy obraz.

Ale teraz Sanzitta wiedziała już, że nie śpi. Serce jej łomotało mocno, a biciu serca wtórował głos dzwonów z pobliskiego kościołka. Dzwoniono na jutrznię. Sanzitta wiedziała, że o tej porze matka jej zwykła była podnosić się szybko i rozpalać ogień na rozłożystym kominie, a starszy brat, Fabiano, leniwym, powolnym ruchem zapalał kaganek, którym świecił sobie, idąc do stajni.

Teraz wielką izbę zalegała cisza straszliwa. Ciałem Sanzitty wstrząsnął dreszcz. Chwile zmagala się ze sobą. Po drobnej twarzy przebiegały raz po raz bolesne skurcze... Nie, nie,

to niemożliwe — ten straszny, potworny obraz, to sen. Rozwieje się on, skoro Sanzitta znów oczy otworzy... Trzeba tylko otrząsnąć się, oprzytomnieć.

Nagłym, bohaterskim wysiłkiem dźwignęła znów powieki... Przez małe, wysokie okienko sączy się błękitnawe światło wczesnego świtu... A tam, opodał, wszystko tak, jak było. Strwożony wzrok Sanzitty znów napotyka grupe skłębionych na ziemi ciał... Ledwo widoczna w półmroku, jaśniejze przecież chustka matczy-na... Z przewróconego, lśniącego dzbana spadają na ławkę, a z ławki na ziemię ciężkie, winne krople...

Z głową, wysuniętą naprzód, ze wzrokiem, utkwionym wprost przed siebie, powoli, jedna za drugą, opuszcza Sanzitta swe wązkie, małe stopy na ziemię.

Coś ją pcha naprzód — podejść — — przekonać się... przekonać...

Teraz powolnym, kocim prawie ruchem, skulona, posuwa się Sanzitta wzdłuż ściany. Najbliżej leży skurczony, zwinięty prawie w kłębek, najstarszy brat jej, Loppo. Twarzy jego nie dostrzega Sanzitta, gdyż wtłoczył ją niemal w ziemię. Natomiast jedną z rąk widać wyraźnie, wyprostowaną, nieruchomą, siną, o pięści, zaciśniętej kurczowo.

Sanzitta schyla się, przykłęka. Już prawie

dotyka ręką barczystych pleców braterskich. Nagle przez głowę jej przelatuje myśl straszna i ręka instynktownie się cofa. Ten brat najstarszy przybył tu właśnie wczoraj, w późną noc, z okropną wieścią: Zaraza u nich, tam, wyniszcza całą prawie ludność... Żonę zostawił Loppo zsiniałą, wijącą się w konwulsjach na ziemi...

Małeńki chłopczyk, niechrzczony jeszcze, umarł tak prędko i cicho, że zeszytniałe ciało porzucił Loppo tuż prawie, przed progiem domu rodziców...

Wieść hiobowa zmaciła nagle, przerwała radosną uroczystość. Bo przecież wczoraj, tu, na tem miejscu, odbyły się zaręczyny Sanzitty, połączone z rocznicą jej urodzin... Skończyła właśnie piętnaście lat i wkrótce (tak postanowili rodzice) Sanzitta porzuci dom rodzicielski, by zostać żoną pięknego, czarnowłosego Maria...

Tak, Sanzitta pamięta wybornie... Właśnie podnoszono po raz trzeci wysokie kielichy, pełne złotego, słodkiego wina i ojciec Sanzitty wznosił zdrowie wszystkich obecnych, gdy przybył Loppo.

Mówił coś najpierw szeptem głuchym do ojca, a twarze matki, brata, pięknego Maria i sąsiadki Rozy zbieleły nagle, jak chusty...

Szepty złowrogie, których nie pojmowała

Sanzitta, wybiegały z wszystkich ust i krzyżowały się pytania:

— Co?... Ilu?... Ach, Loppo, — i żona twoja!...

Aż wreszcie ojciec pochwycił głowę Loppa w obie ręce i ucałowałszy, zawołał:

— Bóg mi cię ocalił...

Uroczystość przerwano. Matka, nakazawszy Sanzicie kłaść się, zbierała drżącymi rękoma naczynia ze stołu. Ostatnie słowa, które słyszała Sanzitta wyraźnie, były to słowa Maria:

— Trudno! Nieszczęście... Wypijmy za zdrowie żywych! Sanzitto!

Ale dziewczyna ukryła głowę pod kołdrą. Coś ją w gardle dusiło nieznosnie. Chciało jej się zarazem płakać i śmiać, — wyskoczyć z łóżka i podbiec do matki, ukryć głowę w fałdach jej spódnicy, jak wówczas, gdy była małym dzieckiem, i wołać: Mario! Mario! Piękny Mario! Obroń mnie! Obroń twoją narzeczoną, Sanzittę...

Wszystko to, jak przez mgłę, przypomniwała sobie — i potem, w ciszy, która nastąpiła po długo w noc trwających naradach, przerywanych wykrzyknikami, pocałunkami i płaczem, coś, jakby jęki, charczenie, łomot upadających ciał...

Nowy dreszcz wstrząsnął Sanzittą. Ręce

cofnęła zupełnie za siebie, a z ust jej, zbielejących i drżących, wybiegło jedno cichutkie słowo:

— Zaraza..

Powtarzając to słowo wkółko, raz po raz, poczęła zwolna posuwać się na kolanach ku środkowi izby... Wszyscy tam leżeli, — rozpoznawała wszystkich.

Oto matka, wyciągnięta, niezwykle długa, z rękoma, ułożonemi nieruchomo wzdłuż ciała, z twarzą ciemną i wykrzywioną okropnie... Opodał ojciec... Głowę miał opartą na ławie... Ręce, nieruchome i sine, wplątał w zwichrzone, siwe swe włosy...

Dalej jeszcze sąsiadka Roza, ta sama, która tak niedawno śmiała się najgłośniejsze ze wszystkich i błyskała w stronę Maria białkami oczu i rzędem zdrowych, lśniących zębów. Poczęło to nawet przyprowadzić Sanzittę o trochę, troszeczkę urazy względem sąsiadki... Jakże inaczej wygląda teraz ta hoża, rumiana kobietka! Sanzitta pochyla się zlekka i patrzy, patrzy w te nieruchome oczy, które zaledwie rozróżnić można wśród twarzy zczerniałej i pokurczonej.

A zaraz obok, prawie dotyka ustami rąk Rozy — Fabiano.

— I on... i on, Fabiano... — szepcze Sanzitta prawie już nieprzytomnie, a głowa jej poczyną chwiać się w takt powtarzanych miarowo wyrazów:

— Wszyscy... wszyscy... wszyscy...

Nagle urywa wpół słowa, a wzrok jej poczyną szukać jeszcze kogoś. Gdzie on jest, — on, Mario? — On, piękny narzeczoney, przyszedł pan i władca Sanzitty?

Serce dziewczyny poczyną szybciej łomotać. Jest w tem przyspieszonym uderzaniu pulsu jakaś nadzieja ukryta, jakaś ukryta radość, a razem prośba gorąca, modlitwa żarliwa...

— Mario... — szepcze Sanzitta, — Mario... Lecz oto niespokojny wzrok znieruchomiał nagle: Tam, pod przeciwległą ścianą, pomiędzy wysokim okienkiem a drzwiami, majaczy na podłodze coś... Koszuli rąbek i świetny, szeroki pas czerwony... i jasne plamy wysmukłych nóg, obciśniętych w białe jak śnieg pończochy...

To on. To Mario..... Sanzitta czuje, że cała krew jej uchodzi, ścieka aż do serca...

Bardzo powoli, automatycznie, zbliża się teraz Sanzitta ku zwłokom. Bezwiednie wyciąga swe szczupłe, dziecięce ramiona przed siebie, aby nie upaść i dąży, dąży... Ciało Maria pogrążone jest w cieniu. Małe, górne okienko rzuca ukośne, mdłe snopy błękitnego światła gdzieś dalej, w głąb izby, a ciało Maria jest w cieniu. Sanzitta klęka powoli przy tych

ostatnich już zwłokach i wolno, ostrożnie się schyla. Mario ma oczy przymknięte. Półrozchylone usta, znieruchomiałe w przedśmiertnym skurczu, zdają się prawie uśmiechać. I — o dziwo, Sanzitta nie czuje lęku. Patrzy nieledwie z ciekawością na smagłą twarz i muskularną szyję narzeczonego. Jeden kosmyk czarnych, wspaniałych jego włosów osunął mu się na czoło. Sanzitta waha się, a jednak po chwili nieśmiało i drżącą ręką kosmyk ten na bok usuwa... Ukazuje się czoło gładkie i dziwnie jasne w porównaniu z śnadością twarzy i szyi. Usta Maria wciąż zdają się uśmiechać...

Mimowoli rozchylają się i usta Sanzitty. Przez głowę jej, jak figlarny ogień, przelatuje jedno, niedawne bardzo wspomnienie: Wczoraj, gdy wszyscy zgromadzili się przy stole, a ojciec rozpoczął długą i wzniosłą przemowę do narzeczonych, Mario nagle pochylił się ku niej i uśmiechając się, szepnął cichutko:

— Takbym cię teraz pocałował, Sanzitto, takbym cię pocałował...

W piersi Sanzitty zadrgało wówczas coś i zatrzepotało się tak dziwnie, obco i mile...

Sanzitta pochyla się jeszcze bardziej. Wydaje się jej, że rozchylone usta Maria szepczą cichutko, a przecież wyraźnie:

— Pocałuj mię, Sanzitto...

I nagle, nieprzepartą siłą rzucona, pada Sanzitta na chłodne ciało młodzieńca i wargi gorące przyciska do nieruchomych ust Maria.

* * *

A gdy po chwili, oprzytomniawszy, podniosła się dziewczyna, ciałem jej wstrząsały nieogarnione zmysłami przerażenie i zgroza. Usta Maria były sztywne i chłodne, były ustami trupa... Ten trupi pocałunek czuje Sanzitta na wargach — i myśl straszliwą odgania, jak zmore:

— Nie, nie... nie, nie...

Jak ociemniała, słania się wśród ław i stolów... Dopada wreszcie do drzwi. Jakimś straszliwym wysiłkiem podnosi ciężką zasuwę... Uciekać, uciec jaknajdalej od tego domu, tkniętego zarazą!

Ciężkie drzwi, pchnięte resztkami sił, uchylają się zwolna...

...Ale za progiem czeka już coś, co jest silniejsze, niż wola Sanzitty...

KWIAT LOTOSU

KWIAT LOTOSU.

Wacławowi Tomaszewskiemu.

Ten błękitny promień światła, ten nieśmiały wysłaniec pierwszego brzasku, kazał mi pomyśleć o małej Agnès, która w taki właśnie blady, zimowy poranek umierała cichutko na swem białem, lakierowanym łóżeczku.

Było to bardzo dawno. Agnès miałaby dzisiaj może dwadzieścia, może więcej lat, nosiłaby modne suknie, pięknie upięte włosy, pięknie zasnurowane buciki na wysokich obcasach. O serce Agnès walczyłoby stu rycerzy salonych i wzdychałoby do tego serca kilku rycerzy błędnych. Wszystkiemu temu, co mogłoby rozwijać się tak pomyślnie, położyła kres szara, cichutka, malutka śmierć, która przyszła sama jedna, wcisnęła się przez białe pręty łóżeczka i bezboleśnie ugryzła małą Agnès w serce, a ono ucichło natychmiast i nazawsze.

Byłem tam wówczas. Siedziałem sam jeden przy małej dziewczynce, która miała umrzeć. Godziny wlokły się nieznośnie. Długie godziny

nocy. Ale potem począł się wkradać pierwszy brzask, a mała Agnès przestała posuwać rączkami po kołdrze i zwróciła na mnie swoje wielkie, rozjarzone oczy.

— Idzie? — szepnęła pół-pytająco a nawpół z przekonaniem, że coś nadchodzi istotnie.

— Nie, nie, mała, kochana dziecino. Nie idzie nic. Noc się zaraz skończy i Agnès zobaczy słońce.

Dziewczynka przymknęła oczy. Po chwili rzekła cichutko:

— Słońca nie będzie. Słońce poszło spać na długo. Będzie taki sam szary dzień, jak wczoraj. Ale ja pójdę zaraz i odnajdę słońce i obudzę je... Pan wie, gdzie teraz jest słońce?

Spojrzałem na granatowy mrok i rzekłem głosem pewnym:

— Jest jeszcze w Japonji.

— Aha... — Agnès złożyła rączki cienkie i przezroczyście, jak dwie lodygi przedziwnych kwiatów, — ach, tam jest lotos! Tam jest kwiat lotosu... I takie drzewa malutkie... i taki Wulkan... Nazywa się Fudzijama... Aha, ja wszystko pamiętam, wszystko, wszystko pamiętam...

Ucichła Agnès, bardzo zmęczona i taka biała, że od jej twarzyczki jasność zdawała się rozchodzić wokoło. Zimne cienie poczęły ślizgać się po ścianach... Chłód jakiś szedł po

całym pokoju. Agnès poczęła głośniejsz oddychać i nagle rzekła bardzo wyraźnie i mocno:

— Chciałabym widzieć kwiat lotosu.

— Zobaczysz go, Agnès, — rzekłem.

— A tak... Jak pójdę obudzić słońce. A już muszę prędko. Słońce jest leniwe, a mrok jest taki brzydki! Jak pójdę obudzić słońce, zobaczę kwiat lotosu. Kwiat będzie wielki, ogromny. Nie będzie jeszcze świecił... Ale ja zawołam na słońce, żeby wstało, i kwiat zrobi się złoty... Czy kwiaty lotosu są złote?

— Nie, Agnès. Są różowe. Ale nie męcz się i nie trzep tak rączkami. Gdy wróci mama, będziesz bardzo zmęczona i mama się zmartwi, że jesteś zmęczona, Agnès.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— Nie można się martwić, że idę po kwiat lotosu. Mama także nie widziała lotosu... Nigdy, nigdy. Ale ja pójdę i przyniosę go. Będzie różowy, a jak słońce go oświeci, stanie się cały złoty. Pan mówił, że nie może być złoty? Ach, będzie, napewno będzie. Przecież ja obudzę słońce i słońce przyjdzie ze mną... A wszystko, co słońce oświeca, musi być złote. O, tak się zrobi jasno, gdy przyprowadzę słońce! Wszędzie, wszędzie stanie się jasno i bardzo wesoło! Nikt nie będzie płakał i nikt nie będzie mówił szeptem. Wszyscy się uśmiechną i powiedzą: Agnès znalazła kwiat lotosu i obu-

działa słońce... Wszyscy zobaczą, że kwiat jest złoty... Ja zaraz wrócę, tylko teraz muszę zamknąć oczy na chwilę, na chwilkę...

I wtedy właśnie padł ten pierwszy, blady promień błękitny. Wślizgnął się do pokoju tak cicho, jak i ta szara, malutka śmierć, która przyszła i bezboleśnie ugryzła Agnès w samo serce.

A potem stawało się jaśniej i jaśniej. Błękitny promień nieśmiało się rozszerzał i stał się różowy, zupełnie różowy... Jak kwiat lotosu, po który poszła Agnès. A potem promień stał się zupełnie złoty i ozłocił białą, martwą, uśmiechniętą twarzyczkę. Uśmiechem tym szeptała Agnès bezgłośnie:

— Widzicie... mówiłam, że wszystko, co oświeci słońce, staje się złote, zupełnie złote!

Ale promienie słoneczne dosięgły jedynie i zestrzeliły się wokół postaci małej, umarłej dziewczynki, a wszystko inne tonęło w cieniu.

O przyjdź, słońce, przyjdź i rozjaśnij nasze serca i pozwól nam uśmiechać się i wołać: — To, co mówiła Agnès, jest prawdą! Widzieliśmy Lotos różowy i Lotos złocisty! Bo wszystko, co mówiła mała, umierająca dziewczynka, Agnès, jest prawdą.

Tyle przypomniał mi błękitny promień światła, ten nieśmiały wysłaniec, który oznajmia cichutko wszystkim tęskniącym, że słońce już wstało i wkrótce nadejdzie.

JAK UMARŁ KSIĄDZ WAWRZYNIEC

JAK UMARŁ KSIĄDZ WAWRZYNIEC.

*Pamięci Drogiego Dziadka,
Bartosza Roszkowskiego.*

— Cip cip, malutkie! Cip cip, cipuchny... Nie pchaj się, Czubatka! Patrzcie ją, jaka to lakoma! A sio! Samaby wszystko zjadła!

Kura, trzepnięta po skrzydłach, odskoczyła z głośnem gdakaniem... Na chwilę jednak tylko, bo i jeden pacierz nie minął, a już wmieszała się w krzykliwe stadko.

Lat będzie ze cztery, jak księdza Wawrzyńca sparaliżowało. Władzę mu całkiem odjęło w nogach, tyle, że prawą ręką mógł poruszać, ale tą ręką sięgał teraz do glinianej miski, umieszczonej na kolanach, i wprost na dłoni podawał złote ziarno ptactwu, które cisnęło się wkoło bez cienia trwogi, oswojone, napastliwe, aż dziw.

— Jużes tu znowu? Ot, jaka naprzykrzona! No, pójdźże, pójdźże i ty, tylko zwolna, delikatnie! Ee, moresu nie znasz przed księdzem! Kto widział tak mocno dziobać? Bierz po jednym, pomału... Przecież ci nie przepadnie, bo owsa nie jadam, ha ha ha!...

Dobrotliwą, pożółkłą i wyschłą twarz starego proboszcza opromieniał uśmiech szeroki, radosny. Kochał ksiądz Wawrzyniec to swoje stadko pierzaste, krzykliwe, wyhodowane z małości, panoszące się na ciasnym podwórku, niby we własnym królestwie. Od czterech lat, od owego dnia, gdy go wyroki Boże do małego wózka na kółkach przykuły, ta swarliwa gromadka drobiu była dlań całą rozrywką, jedynym niemal towarzystwem.

No, nie jedynym znowu! Ludziska dobrzy, poczciwi, zachodzili zrazu dość często; nie minęła godzina, aby ktoś nie wpadł dowiedzieć się o zdrowie, spytać o co, poprosić o radę... Ot, z nawyku przychodzili czas jakiś ludziska, ten ze swoim strapieniem, ten ze skargą, ten z inną jaką biedą... Alboż to biedy mało na świecie?

Przyjechał nowy proboszcz, Urbański. Msze odprawiał, kazania mówił płomienne, do chorych jeździł, spowiadał. A ludzie po dawnemu do księdza Wawrzyńca szli, jak w dym, o wszystko. Przyjdzie taka babina, w rękę cmoknie, żale swoje wywodzi: że to niby najstarsza córka chora, że ją mąż znowu zbił, że nijak poradzić sobie z tem wszystkim, a tu jeszcze sąsiad się wadzi, kłótni szuka... Wczoraj, jak na złość, na świeżo obsiany żagon kaczki wypuścił...

— Bo to, proszę dobrodzieja księdza proboszcza, żeby tak ksiądz proboszcz choć słówko onemu sąsiadowi rzekł, że niby się nie godzi... Ksiądz prędzej posłucha, niż kogo...

— Ja nie proboszcz tu teraz, niech ksiądz Urbański z ambony wypomni... Do proboszcza idźcie! — odpowie raz i drugi ksiądz Wawrzyniec, a na sercu mu ciężko i taki żal, taki żal chwyta, że aż głowę obrócić trzeba w bok, a zdrową ręką po oczach przesunąć.

Bo i cóż on, ksiądz Wawrzyniec, znaczy teraz na świecie? Dobrze, że na starej plebanji zostać pozwolili, w rodzinnej wiosce... Ksiądz Kazimierz Urbański sumę odprawia, nieszpory, wszystko...

A z małej wieżyczki, co święto, dzwony dzwonią tak samo, jak dawniej, tak samiusieńko...

Od czterech lat ksiądz Wawrzyniec starego nawyku wyzbyć się nie może: Niech tylko zabrzmi cieniuchny głos sygnaturki, a zadudni ten duży dzwon, co to go sam poświęcał i w wieży umocowywać pomagał, tyle razy chce mu się zerwać na równe nogi, a do kościoła śpieszyć... Dopiero drętwe, nieruchome ciało przywodzi do opamiętania...

Oj, Boże mój, Boże mój kochany!... Suma będzie... procesja wyjdzie, a ksiądz Urbański pod baldachimem... O Jezu drogi! Już to nie

zazdrość, broń mię Panie Boże... Ty widzisz, Jezu, Serce moje. Ale tak ciężko pomyśleć, że już nigdy, już nigdy przed ołtarzem się nie klęknie, ludowi się nie obwieści: „Pan z Wami“, tego najśłodsze go przemienionego Bożego Baranka się nie podniesie wysoko w kielichu jaśniejącym...

Na każde takie wspomnienie lzy stają w oczach matowych, wyblakłych. Nie wiedzieć, skąd się biorą owe ciche lzy starcze, zda się zawsze, — ostatnie.

Gdy ksiądz Wawrzyniec jest sam, leż tych przed Bogiem się nie wstydzi. Zdrową ręką w piersi uderza i szepce:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw...

A potem:

— Zostawiłeś mi, Panie, rękę zdrową, abym znak krzyża czynić mógł, Tobie na chwałę, na pokrzepienie sobie i ludziom, a ja wyroki Twoje chcę sądzić! Wybacz, o Jezu, mnie grzesznemu! Ułomny człowiek jestem, wyroków Twoich zrozumieć niezdolny...

Wiatr leciuchny poderwał się kędyś z nad wodnych zarośli i gałązkami drzew zachybotał. Ocknął się ksiądz Wawrzyniec z zadumy, ptactwo natrętne z kolan, z ramion pospędział, pustą miseczkę odłożył na trawę.

— Janek, hej, Janek!...

A gdy nadbiegł umorusany Janek z łączki, gdzie łowił żaby, rzecze mu ksiądz Wawrzyniec:

— Zawieź-no mię na to miejsce, wiesz, co zawsze. Potem już sobie idź do domu, umyj się — i do kościoła! Już cię wołać nie będę. Tylko mi obiad przyniesiesz, jak podadzą. Na plebanji pewnie tłum dziś będzie. Poco mi tam ludzi wózkiem i kalectwem straszyć... Ciepło dziś, posiedzę sobie na słonku. A wieczorem to mię zabierzesz do domu. Co, nie zapomnisz? Ej, nie zapomnisz, pocziwy z ciebie chłopiec... Wiesz, że mi krzyczeć trudno... A prędko też zadzwonią, nie wiesz?

Mruczał tak sobie przez drogę ksiądz Wawrzyniec, trzęsąc głową w takt ruchu wózka, aż zajechali na miejsce.

— No, leć! A na mszę się nie spóźnij, hultaju! Tylko szyję umyj, żebyś brudnem ciałem Boga w kościele nie obrażał...

Ulubionem miejscem księdza Wawrzyńca był niewielki pagórek, w samym końcu ogrodu. Sad ginał w dali, za plecami. Samotna, dzika grusza, rosnąca tu mimochodem, rzucała sporo cienia. Bliziuchno, o kilka kroków zaledwie, niski płotek, zmurszały i pochylony od starości, łamał się w linje dziwaczne, świecił szczerbami powyrywanych kolków. Za płotem ciągnął się wąski pas pola, a za nim porosła trawą droga, którą rzadko jeździły furmanki.

Do zielonego pagórka, przez półko, runią pokryte, wiodła cieniuchna, wydeptana ścieżynka. Przedostawała się przez luki w sędziwym płocie i biegła dalej, w głąb sadu, na lewo. Tędy sobie ludzie, co śmielsi i przemyślniejsi, nieraz drogę do kościoła skracali, bo ścinając spory klin ogrodu, wychodziło się wprost na kościół, przez furtkę w plebanji.

Gniewał się ksiądz Urbański za te ekscesy, pogderywał ongi i ksiądz Wawrzyniec, ale tak się utarło jakoś, a teraz — sam patrzył na to przez palce, a raczej z ukrytem zadowoleniem. Bo małą ścieżką szły często kobiety wiejskie w kraśnych zapaskach i dzieci z wiązkami kwiatów, a wszyscy, przechodząc mimo księdzowego posterunku, Boga chwalili i z księdzem zamieniali słów parę.

— Słońce, jak w lipcu! — szeptał staruszek, wyciągając zdrową ręką książkę z kieszeni. — Żeby biedy z tego nie było, bo ziemia wyschnie na kamień... In nomine Patris et Filii... Czas jeszcze, nim do kościoła schodzić się zaczną, brewjarz odmówić...

Rosochata grusza rozdzwonila się znowu od śpiewów ptaszęcych, które z przybyciem księdza zmilkły na chwilę. Gwizdały przeciągle kosy, świerkały wróble; cała ich czereda gnieździła się tutaj. Na ziemi, wśród kamyków i krótkiej,

kepczastej trawy, uwijało się kilka pliszek w zabawnych, szarych fraczkach.

Dalej, od pola, dzwoniły boże dzwoneczki, — skowronki, zawieszone wysoko na błękiecie, jak małe punkciki. A z głębi sadu dolatywały jeszcze inne głosy, to chórami, to pojedynczo, tworząc chwilami klasycznie piękną symfonię, chwilami rejwach jarmarczny.

Zdała, na drodze, ukazały się pierwsze grupki ludzi, śpieszących do kościoła. Szły trzy kobiety w barwnych chustkach; mały chłopiec witką z wierzbiny ścinał, idąc, przydrożne chwasty. Słońce świeciło już z wysoka. Cienie kładły się krótkie i strzępiaste, jak szmaragdowy szlak u brzegu trawy jasnozielonej. Żółte mleczce, napstrzone gęsto wzdłuż ścieżki, biły w oczy jaskrawością swych okrągłych główek.

Jedna z kobiet odłączyła się od gromadki i skręcając na ścieżkę, mówiła już zdaleka, z niskim pokłonem:

— Pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków! — odparł ksiądz, zamykając brewjarz. — A, to wy, Pawłowa! Toście się dzisiaj pośpieszyli, moja kochana!

— Oporządziłam izbę, nastawiłam garnki, to i idę, — odparła kobieta, ocierając zgrzaną twarz fartuchem. Podeszła bliżej, lokciami wsparła się o płotek. Jej niebieskie oczy w po-

marszczonej oprawie pocziwie spoczęły na księdzu. Szukała w myśli tematu do pogawędki. Stary proboszcz sam zagaił rozmowę:

— Co to, słyszę, córkę wydajecie za mąż po zniwach?

— Lata jej przyszły, niech ta idzie na swoje! — odparła kobieta i zaraz rozgadała się:

— Chłopak się nawet trafił pocziwy, sąsiad, kowala syn, z Glinianek. Grontu kawalek ma, trzy krowy... Dziewczyny też w jednej koszuli nie dajem: wyprawa jest, posag, a i świniak odchowany, co go od chrzestnej matki jeszcze w zapusty dostała. Niech ta idzie, niech ta posmakuje dziewczucha chleba na swoim gospodarstwie!

— To ja ją chrzcilem, prawda? Jakże to jej na imię?

— A juścić, Stefanja. I Walka mi ksiądz chrzcil i Antka i Bronię, co to ją panienka ze Świerkowa do chrztu trzymała... O mój Jezu kochany, — buchnęła nagle żalością, — myślałam, że i ślub ksiądz mojej Stefci da i jeszcze jej dzieci chrzcil będzie...

— No, no, moja Pawłowo... I mnie żal... Wola Boska!... I mnie żal... Toć ja was od małości znam, pamiętam. Jeszcze klerykiem byłem, jakem was na elementarzu uczył. Hej, dawne to czasy! Dawne! No, idźcie już, moja Pawłowo, idźcie... Słońce świeci, aż

oczy łzami zachodzą... Obróćcie-no mi wózek trochę bokiem, o, tak. A niech tam Stefcia przyleci do mnie kiedy na momencik. Może i jaki podarek się znajdzie... Ona do książek ciekawa zawsze była, co? Dziękuję wam, Pawłowo. No, idźcie już. Przed kościołem buty wzuć trzeba, a nie zawadzi pacierz odmówić, zanim się ludzie zejda...

Kobieta, pocałowawszy księdza w rękę, ruszyła ścieżką w głąb ogrodu. Drzewka tam rosły małeńkie, rzadko sadzone, a między niemi warzywa. Nad wierzchołkami drzew, bliźiutko, bieląca wieżyczka kościoła.

Mimo księdza Wawrzyńca przeleciał dudek, tak blisko, że aż cień rzucił na kolana. Siadł na jakimś drzewku sąsiedniem i głośno zaśpiewał swoją monotonną piosenkę:

— Du du du du....

A jednocześnie prawie ozwały się z wieżyczki dzwony. Najwpierw malutki, cienko: „Dyń dy dy, dyń dy dy“, a zaraz potem gruby, powoli, kontr-altem, „Bam baam, bam baam“...

Zaroila się też droga od ludzi, śpieszących na sumę. Ksiądz Wawrzyniec znał każdego z imienia i nazwiska. Starszych, poważnych gospodarzy był ongi kolegą i towarzyszem w zabawach. Młodszych prawie wszystkich ochrzcił, do spowiedzi przygotował, niejednemu już ślub dał... Zagadywał też do nich,

podżartowywał czasami, do kościoła iść naglił...

— Pędzej, pędzej! Co się tak guzdrasz, Marysia! — wołał do rumianej dziewczyny, która przykucnąwszy na ziemi, kwiatki we włosy wpinała. — Nie na wstażki twoje Bóg patrzy, a w serce! Michał, Michalek! — wołał znowu, kiwając ręką na dorodnego chłopca w nowiutkiej czapce: — Mówił mi ksiądz proboszcz, żeś mu znowu było w szkodę wpędził... Nie wstydzisz to się?

— Hale! Bydło samo w szkodę lezie, nie pyta, gdzie cudze! A Marcysia mała, to i r'upilnuje...

— Cóż ty, gospodarz, a na parobka cię nie stać? Siostrę byś lepiej do szkoły posyłał!

— Będzie na naukę czas... w zimie! — odparł chłopak i zdala już dorzucił:

— Pochwalony!

— Droga opustoszała powoli. Jeszcze przesunęła się parka młodych, trzymających się za ręce. Szeptali coś do siebie, śmieli się, ukazując zdrowe, białe zęby, a dziewczyna chwila głową umykała w bok, zawstydzona.

— Tak, tak! wołał na nich staruszek gderliwie, — zabawiajcie się jeszcze! Akurat świegać przyjdziecie... Mało to czasu po kościele będzie na pagawędkę i śmiechy? Marsz mi

zaraz, a to proboszczowi powiem, jacy z was chrześcijanie pobożni!

Ręką jeszcze młodym zdaleka pogroził, ale na ustach miał uśmiech pocziwy:

— Dziewczyna dobra, pracowita, — myślał, goniąc oczami kraśną jej postać — pewnikiem wkrótce będzie wesele... Ha! Tyle imesołości, co teraz, bo przecież chłopca do wojaka zabiorą, tylko patrzeć...

Wietrzyk ustał zupełnie, uczyniło się cicho jeszcze goręcej. Ptaki rozkrzyczały się znowu, ale zagłuszył je śpiew chóralny, bijący potężnie w strop niebieski.

— Z procesją wyszli... — szepnął ksiądz Jawrzyniec i począł wsłuchiwać się w znane melodie z natężeniem, wzruszony do głębi. Zdało mu się, że rozróżnia znajome głosy.... Uchem je z pośród tysiąca wyławiał i wielkie rozrzewnienie chwyciło go znów za serce.

Zaczął zcicha wtorować, ale mu tchu zaraz zabrakło; potrząsnął kilkakrotnie głową ze skutkiem i szepnął:

— Śpiewajcie, dzieci, na chwałę Bożą... Gdy procesja wróciła do kościoła, rozłożył się na kolanach i przewracając z mozolem ręce, postrzępione kartki, modlił się żarliwie, odlitwie się cały zatopił, powtarzał wzniosłe śpiewania z mszy świętej.

— Teraz mówią Confiteor... — zaszeptał

i spowiadać się począł Bogu Wszechmogącemu, Marji Dziewicy, wszystkim błogosławionym i świętym z grzechów swoich, kajał się przed boskim tronem w pokorze, o odpuszczenie win błagając.

Cisza była tak wielka, że dźwięk potrójnego dzwonka doleciał aż tutaj, obwieszczając księdzu Wawrzyńcowi, wszystkim ptaszkom w gałęziach gruszy, trawom i kwiatkom polnym, że wielki cud się wypełnił, Baranek Boży ukazał się pod żywą postacią wina, przemienionego w krew i oto niesie zbawienie światu całemu...

Ksiądz Wawrzyniec oczy zamknął, głowę pochylił, jak mógł najniżej, i bijąc się w piersi, powtarzał słowa pełne pokory i ufego oddania. Świergot ptactwa się wzmagał, rozśpiewały się wszystkie tak zamętale, aż je staruszek począł niecierpliwie ruchami ręki uciszać, ale to nie na długo pomogło.

— I one Bogu się modlą... — pomyślał, żalując, że nie umieją modlić się nieco ciszej w chwilach, gdy dusza ludzka poszukuje spokoju, aby w należnem skupieniu podziwiać Boską moc i przed nią się korzyć.

Cienie od drzew stały się krótsze i bardziej szafirowe.

— Musi już być blisko południa, — szepnął ksiądz, który popadł był w zadumę głęboką i utracił rachubę czasu.

Jakby w odpowiedzi, z kościoła buchnął znówu śpiew tłumu. Wtórowały mu organy.

— Święty Boże... Święty mocny... Święty a nieśmiertelny... — dobiegały jęklive, roz-wlekłe tony pieśni.

— Matusiak znów fałszuje... — zauważył ksiądz Wawrzyniec. Przymknął oczy i przez kilkanaście minut wsłuchiwał się w przesmutną, pełną skargi pokornej modlitwę nękanego chorobami i głodem narodu.

Powoli głosy cichły, — wreszcie śpiew umilkł zupełnie. Staruszek nie otwierał oczu. Było mu dziwnie jakoś, nieswojo... Głowa ciążyła nieźnośnie, nawet w jedynem zdrowem ręku czuł niemoc i bezwład.

Powoli głowa opadła mu na piersi... Usnął.

* * *

— Proszę księdza, proszę księdza... Obiad przyniosłem!

Janek, delikatnie pociągnawszy staruszka za rękaw, na malej deszczulce, wpoprzek wózka przełożonej, talerz postawił i kawalek chleba oparł na jego krawędzi.

— Aha, to ty... Dziękuję ci. — Ksiądz Wawrzyniec zupeł zamieszał, jedną, czy dwie łyżki do ust podniósł, wreszcie potrząsnął głową:

— Jeść się nie chce, — rzekł — zmęczony jestem. Upał, czy co? Zabierz-no, Janek, ten talerz. Chleb zostaw. Przyda się dla ptaszków...

Kruszył go w dłoni, rzucał na trawę przed siebie i patrzył z zadowoleniem, jak kilka wróbli sfrunęło opodal, przyglądając się nieufnie okruszynom.

— Będziecie jadły, będziecie! — uśmiechnął się staruszek. — Jak tylko Janka wyprawię... Już ja was znam! A co tam, Jasiu, na plebanji?

— Przyjechało sporo gości. Jest i pan Świerkowski z panienką.

— A, jest Łuchna! — uradował się ksiądz Wawrzyniec.

— Tak, pewnością tu zajdzie, bo już raz po raz przez okno spozierała, jak obiad dawali. Ksiądz proboszcz tam trochę wyrzekał na księdza, że dziwaczy, że od towarzystwa stroni... Niby względem tego obiadu...

— Co im tam moje towarzystwo, — szepnął ksiądz Wawrzyniec. — Siadą zaraz do kart, to i zapomną. Idź już, Janek, idź. Potrzebnyś.

— ...Tom i przedrzemał z godzinkę, albo i więcej, — myślał po odejściu Janka. Cień od gruszy wydłużył się znacznie na trawie.

— Ależ słońko dopieka!... Znów się za-

myślił, patrząc na wróble, które się biły zjadle o pozostałe w trawie okruszyny.

Nagle dłonie miękie i ciepłe zakryły mu oczy, a świeży głos poza plecami zapytał:

— Kto to?

— Łuchna! — zawołał ksiądz i zdrową ręką począł szukać po omacku ciemnej główki, okolonej warkoczami.

Dziewczyna odjęła ręce, przyklękła i położyła mu głowę na kolanach.

— Tak, to ja, proboszczuniu kochany.... Czekałam na plebanji i nie doczekałam się, więc przyszłam tutaj. A ksiądz zadumany, ani mnie spostrzegł...

— Ciebie bym nie spostrzegł? Ej, Łuchno moja, kochanie... Ot, zamyśliłem się... Tak jakoś człękowi smętnie się czasem robi i pusto...

— A to czemu ksiądz od ludzi ucieka?

— Alboż potrzebny komu taki grat? Ot, dawniej, pojechało się na wieś, pogadało się z tym, z owym... Patrzyło się na każdą biedę zbliżską, to i lekarstwo łatwiej znaleźć było... A teraz co?

— Już ksiądz zaczyna? A to nie czuje ksiądz proboszcz, jaki jest potrzebny?

— Komu?

— A choćby mnie... Oj, księżuniu, księżuniu drogi, co ja bym bez księdza...

Podniosła głowę i poważne oczy utkwiała w jego twarzy.

— Dla mnie niedziela, to prawdziwe święto, bo wiem, że księdza zobaczę. A tak u nas smutno, tak źle ...coraz gorzej...

Umilkła na chwilę, poczem, znowu głowę spuściwszy, ciągnęła:

— Proboszczunio smutny, sam znekany dziś jakiś, o, widzę dobrze... A ja jeszcze ze swojemi smutkami nachodzę... Ale nie mogę, już doprawdy nie mogę!

Ksiądz Wawrzyniec, zdrową ręką wziawszy pod brodę, podniósł jej twarz ku górze i w oczy patrzył z uwagą, z niepokojem przez długą chwilę.

— Co tam znów, Łusiu, co? — wyszeptał wreszcie, widząc, że na rzęsach dziewczyny zamigotały łzy.

— Ot, nowe strapienia przybyły do starych... Tatusz już teraz codziennie w karty gra i pije, wiem z pewnością, że pije... W towarzystwie, a jak nie, to i sam. I te żydy wciąż się włóczą po folwarku... Przedwczoraj pytałam, prosiłam, żeby mi chociaż przyrzekli...

Księdzu Wawrzyńcowi drgnęły usta i oczami zamrugał kilkakrotnie.

— ...A ojciec nic. Wykręcał się, wreszcie fuknął na mnie, że jestem głupia, że się nie rozumiem na niczem... Że mi w mieście będzie

lepiej, bo tam wielki świat... I tyle się dowiedziałam. Ale te żydy wciąż chodzą, — pola oglądają, budynki, sad... Nawet moim indykom przypatrywali się ze znanstwem, aż ich z podwórza przepędziłam precz. Odeszli na bok, ale śmieli się, szwargotali i na mnie patrzyli, jak z politowaniem.

Poczęła skubać palcami wiotkie łodygi traw i ciągnęła znacznie ciszej:

— Trudno mi patrzeć na to spokojnie, jak gospodarstwo przepada, jak się to wszystko do ruiny chyli... chyli... Ja już teraz wiem, księżu proboszczu, że tatuś folwark sprzeda, że wyniesiemy się stąd... A cóż ja w mieście robić będę? I proboszcza mam nie widzieć... i już nigdy tutaj...

Krótki, dziecięcy szloch przerwał jej mowę. Opanowała się i po chwili, patrząc gdzieś w przestrzeń, rzekła:

— Świerkowa mi żal...

Znowu się poderwał leciuchny wietrzyk i włosami jej bawić się począł, nasuwając na twarz niesforne kosmyki.

Ksiądz Wawrzyniec rękę ku niej wyciągnął, mówiąc:

— Łusia... no, Łusia...

A ona podjęła znowu, zapamiętała w swym żalu, oczy utkwivszy gdzieś w dali:

— Tu się urodziłam... Tu pochowana mama... Znam tutaj każdy kąt, tutaj mam ludzi blizkich, drogich, kochanych... Czasem, to mię taki żal porywa... na ojca... Bo jakże można, jak można! Przecież to ojca ziemia, ojca rodzona! Jakże ją można przepić i w karty przegrywać? Wczoraj myślałam sobie: może to i lepiej, że mama umarła, bo tego wszystkiego nie widzi. Nie widzi, jak dom w ruinę idzie, jak wycinają świerkowski las, sztuka po sztuce... Tak, ja grzeszę ciężko, Boga obrażam, bo ja tatkę... bo ja czwartego przykazania teraz nie mogę... jak o Świerkowie pomyśle...

Ksiądz Wawrzyniec czekał, aż się wyżali i uspokoi, wreszcie, patrząc serdecznie, przemówił:

— Łusia, Łuchna, dziecko moje. Ja wiem, że ty w rozżaleniu mówisz teraz, ale tak myśleć nie możesz. Ja ciebie znam nie od dzisiaj... Toż cię chrzcilem, na ręku nosilem... hojdałem cię aż pod sam sufit, pamiętasz? Przecież cię katechizmu uczyłem i spowiadałem cię... Łuchna, przecież i mnie ciężko, Bóg widzi, pomyśleć, że mi na starość ma zbraknąć mojego promyczka... Ale Bóg nami rządzi. Łusiu, pamiętaj o tem, nie zapominaj w żadnej chwili życia! W rozżaleniu gorzkie słowa mówisz, Boga obrażasz... Ale Bóg dobry, Bóg litościwy, Bóg wszystko przebaczyć gotowy... Przecież

ty się, Łuchno, modlisz codziennie i mówisz: „Bądź wola Twoja“?

— Tak, — szepnęła bezdźwięcznie.

— Nie wolno nam sprzeciwiać się woli Bożej, bo nie umiemy zgłębić boskiego rozumu... Ale nam wolno modlić się w smutku, w niepokoju, w zgryzocie i prosić o pomoc i łaskę... Gdybyśmy tak oboje teraz koronkę do miłosierdzia boskiego, co, Łuchna?

— Dobrze, proszę księdza, — odparła potulnie i poczęła powtarzać za nim słowa, proste, a wymowne: „O mój Jezu, miłosierdzia!“

Staruszek drżącą ręką przesuwał paciorki, szepcząc:

— O Jezu, Zbawco świata, któremu jedna rzecz jest niepodobną, to, żebyś się nie ulitował nad nieszczęśliwymi...

I tak sobie odmówili koronkę całą, a po skończeniu jej Łusia otarła zasychające w kątach oczu łzy i pocałowała w rękę księdza Wawrzyńca.

— Dziękuję, — rzekła. — Będę się modlić o wytrwałość i pokorę w znoszeniu niepowodzeń... Ale Świerkowa mi strasznie żal... A jak ja bez proboszcza żyć będę?

— Albow ja wieczny? — uśmiechnął się do niej, ale smutno. Wzbierała w nim wielka żalność na myśl, że z woli Bożej może już tej ciem-

nej główki nie ujrzeć nigdy więcej, — i uczuł, jak bardzo kochał Łusie.

Ona tymczasem wstała, wygładziła zgniecioną od klęczenia na trawie sukienkę i rzekła:

— To ja już pójdę. Tatusz pewnie do późnej nocy na plebanji się zasiedzi, a dom pusty. Do widzenia, proboszczuniu! Przyjdę znów wkrótce pogawędzić, wyzalić się... A proboszcz i wyłaje... i otuchy zawsze doda. Prawda?...

Uśmiechnęła się prawie wesoło i znikła w gąszczach, a zdaleka zabrzmiał jej głos, nucący jakąś piosenkę dźwięczną i skoczną.

— Ot, młodość! — pomyślał ksiądz Wawrzyniec i westchnął.

Było mu smutno i coraz smutniej. Machinalnie począł odmawiać różaniec, ale w słowa modlitwy wpadały mu myśli natrętne i uporczywe:

— Mój Boże, mój Boże! Tyle smutku i zła i grzechów ludzkich... Cóż winna taka Łusia, takie dziewczątko złote, że ojciec pijanica i marnotrawca... A ona po utracie Świerkowa zwątpić może o miłosierdziu boskiem, bo to młoda, zapalczywa duszyczka... O, nie dopuść do tego, Boże mój! Wysłuchaj mnie... Wprowadź niegodzien jestem, ale jeżeli ciemkolwiek na łaskę Twoją zasłużył, o Jezu, okaż swą łaskę temu jasnemu dziecku... Cóż ja stary i bezradny ofiarować Ci mogę, o Panie? Ale

weź wszystkie myśli, wszystkie modlitwy moje. Weź moje stare, niepotrzebne życie... Bo i cóż ja? Marny kaleka, który nawet Ciebie chwalić nie zdoła, jak należy... Marny proch jestem, ale Ty widzisz i słyszysz wszystko, Panie, więc i moją prośbę słyszysz i rozumiesz...

Znów ujrzał przed oczami zasmuconą twarzyczkę Łuchny i westchnął:

— Takie to biedactwo... biedactwo... — pomyślał i uczuł w sercu ból dotkliwy na myśl o jej strapieniu i o tem, że sam ją może utracić.

Słońce poczęło się zniżać i świecić teraz prosto w twarz księdza Wawrzyńca. Nasunął kapelusz ruchem powolnym i ociężałym, aż się sam sobie zadziwił:

— Coś mi jest... — szepnął i chciał zawołać na Janka. W gardle czuł dziwną suchość i nie mógł wydobyć głosu. Oparł głowę o poduszki i długi czas leżał w milczeniu odrętwiałem, zdumionym tem, co się z nim działo, ale zarazem spokojny i pełen rezygnacji.

Z wieży ozwała się sygnaturka. Dzwoniono na Anioł Pański.

Ksiądz Wawrzyniec ocknął się. Z wysiłkiem dźwignął rękę, by się przeżegnać. Ręka jednak opadła bezwładnie na kolana.

Wówczas podniósł tylko zmęczone oczy i utkwil je w błekicie, ponad złocistą kulą słońca.

neczną, która, tocząc się już ku widnokregowi, oświecała twarz jego jaskrawo.

Zaledwie poruszając wargami, odmówił słowa Zwiastowania, poczem wyraźnie powtórzył dwa razy:

— Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Silniejszy wiatr powiał nagle od strony ogrodu i przyniósł ze sobą całą gamę subtelnej woni bzów i narcyzów, które tam rosły białemi rzędami wzdłuż ścieżek.

Świergot ptaszęcy wzmógł się znowu. Odprawiała dzięczynną modlitwę za piękny, słoneczny, ciepły dzień.

Kilka jaskółek latało nisko, cichym, błyskawicznym swym lotem kreśląc runiczne znaki na amarantach płonącego nieba. Jedna z nich siadła w przelocie na poręczy wózka i rozglądała się zdziwiona, kręcąc czarną główką.

Ksiądz Wawrzyniec spojrział na nią przyjaźnie, ale jaskółka, wystraszona, porwała się i odleciała prosto przed siebie.

Śledził czas jakiś jej lot przedziwnie harmonijny, a gdy zniknęła, patrzył jeszcze na niebo, zmieniające powoli purpurę na fiolet, przygasające stopniowo i siniejące u spodu od mgły, która podnosić się poczęła z wilgotnych łąk dalekich.

Cisza zrobiła się wielka naokół, a jemu się ciągle zdawało, że dzwony jeszcze biją, to moc-

niej, to słabiej, wzywając ludzi do Domu Bózego.

Kilkakrotnie usta mu drgnęły, jakby w ledwowiedocznym uśmiechu, — wreszcie ten uśmiech rozjaśnił twarz całą i tak pozostał.

Bobra Wielka, Maj 1920.

Doktór przykląkł i pochylił się nad zabitym:

— Nie wiesz, kto to był?

— Phi... starszy żołnierz... naszywka jest...

A już w pułku sprawdzą, kogo brakuje...

— Tak, tak, zapewne... tak, zapewne... —
doktór, pochylony naprzód, położył rękę na kurtce skrwawionej. Zaszeleściły papiery jakieś w bocznej kieszonce. Siegnął do tej kieszonki: zapięta była agrałka.

— Agrałka jest na miejscu, jak była, a w pułku sprawdzą jutro, kogo brakuje... — myśł nieprzyjemna przewinęła się przez mózg, jak ciemna nitka.

Odpiał agrałkę, wyciągnął papiery. Było tam kilka arkusików, złożonych we dwoje. Brzeżki listu splamiła krew, przedostająca się widocznie od zewnątrz.

„Najdroższy Antku...” przeczytał doktór drobniuchne pismo u samej góry. Na prawo była data, niedawna bardzo data, dwudziesty sierpnia...

— Którego to dziś? Dwudziesty siódmy, ach, tak, dwudziesty siódmy... — Doktór obejrzał się: żołnierz stał za nim ciagle wyczekująco.

— Wracaj sam. Ja zaraz idę. Latarke zostaw! — rzucił mu rozkaz. — Przepatrz te papiery, może co ważnego, list, polecenie...

Po odejściu żołnierza pochylił się nad pismem:

„Najdroższy Antku“ — padły mu znowu oczy na pierwsze słowa. Mimowoli przeniósł wzrok na krwawą, bezkształtną bryłę głowy, gdzie twarzy nie można było rozeznąć. Dreszcz nim wstrząsnął... Młodym człowiekiem, młodym lekarzem był doktor Wolski. Po chwili opanował wstręt i zgrozę. Czytał dalej, już płynnie, nie odrywając oczu:

„...Zosia przyleciała powiedzieć, że tamten jutro wraca do was z prowiantem. Więc siadłam zaraz do listu, choć roboty w domu dużo, bo to wiesz... Przygotowuję wszystko i wszystko już mam, co trzeba. Mama miejsce zamówiła w klinice, zapłacone. Już prędko, lada dzień tam pojedę. Mój Antku najmiłszy, mój drogi! Mama tam nawet burczy na mnie trochę, że tyle roboty, a ja piszę. Ale jakże? Okazja jest — i pewna okazja... Chciałabym Ci tyle napisać! To nie to, co pocztą... A i dostaniesz prędzej — i prędzej będziesz wiedział, co tu u nas. Zosia Ci paczkę przygotowała. Papierosy są te, co lubisz. Zosia sama kupiła w sklepie na rogu. Tak mi się płakać chciało, kiedym kładła te różne drobiazgi dla Ciebie...! Mydło jest od Natalki. Że też na urlop tyle czasu jeszcze trzeba czekać! A jak pomyśle, że teraz, to wszystko, tak prędko i że Ciebie

tu niema, serce mi się ściska i na płacz się zbiera. Ale to nic, mój Antku, to nic. Bóg pozwoli, wszystko pójdzie dobrze...

Ja jestem zupełnie zdrowa i dobrze wyglądam. Marcinkowska mówi, że napewno będzie chłopak, bo ja tak dobrze wyglądam, a to pewny znak. Ja także myślę, że to będzie chłopak, Antku. I napewno do Ciebie podobny. Już ja to wiem! I z usposobienia musi do Ciebie być podobny... Taki żywy! Jeszcze go niema, a dobrze mi się daje we znaki. Wczoraj, to się tak rzucał całą noc, aż spać nie mogłam...

Mama mówi, że to znak, że już prędko... Antku mój, Antosiu najukochańszy! I cieszę się — i tak mi smutno zarazem, że to teraz właśnie, kiedy Ty daleko... Codzień odmawiam litanję do Matki Najświętszej na intencję, żeby Cię prędzej do domu puścili... To już tyle miesięcy, mój Antku! Wczoraj liczyłam na kalendarzu: równe trzy kwartały od naszego ślubu, a przecież zaraz Cię wzięli, na trzeci dzień! Krótko trwało to nasze wesele, Antosiu... pamiętasz? Ja to ciągle przypominam sobie wszystko, wszystko... Jak organy grały... Jak Veni Creator śpiewali na chórze... Jak mi mama dukata we włosy włożyła... na szczęście. Pamiętasz, Antku, Zosia miała różową suknię i pyszniła się cały czas, że jest druchną!

Zosia tu często zabiega, bo teraz pracuje

w magazynie mód, zaraz obok. I twoja ciotka Paulina zachodzi, a jakże! A jak przyjdzie, to zaraz język rozpuści i ploteczkuje: a ta ta ta, — a ta ta ta!... I po całym mieszkaniu chodzi, w każdy kąt zajrzy, palcem spróbuje to na półce, to pod obrazem, czy kurzu niema! Chciałaby się do czegoś przyczepić, ale nie może, bo u mnie zawsze czysto... i rano i w południe — i nawet, jak zamykamy z mamą, to się kurz nie podnosi, bo mama zawsze podłogę wodą skropi...

Ciocia Paula jest wścibska i gadatliwa, ale ma złote serce. Czasem, jak się zacznie nademną użalać, to mnie aż złość bierze:

— „Biedna ty jesteś, — powiada, — że pożał się, Boże! Bo i co to za życie? Aniś panna, ani mężatka, a i z tem skarcanie boskie..“ (niby że Antosiu, wiesz, tak prędko zaszłam...) I jak zacznie lamentować: „Jeszcze takiego małżeństwa nie widział! Radości tyle, co kot napłakał, a kłopotu więcej, niż pociechy! Żał mi cię, Marysiu, serdecznie, bo i co to za życie takie?“

To, mówię Ci, Antosiu, taka zła wtedy jestem! Bo ja tam nie uskarżam się, nie krzywdzę sobie. Bóg tak sprawił — widać, że tak było trzeba. Tęskno mi — i bardzo nieraz smutno, jak zobaczę, jak pomyślę, że innym żonom i matkom to wszystko cał

kiem inaczej się składa, ale zaraz głowę do góry podnoszę i mówię sobie: było komu szczęście i radość na początku, a niedola na końcu, — a mnie odwrotnie, od niedoli się zaczęło, — to przecież Bóg wynagrodzi i potem, kiedyś, dużo naraz szczęścia da!... A jak przyjedziesz, Antku mój najdroższy, to pewnie już dawno będzie po wszystkim... i ja już będę zdrowa i ładna (bo kobiety zawsze podobno wtedy ładnieją) i ten malutki nasz już się troszeczkę odchowa... Teraz, to bardzo nieładna jestem i czasem aż się cieszę, że mnie tak nie widzisz, bo możebyś nie lubił patrzeć na mnie... A jak przyjedziesz potem, to się napatrzysz, Antosiu, Antosiu... Oj, napatrzymy się oboje!

A malutkiemu, to chyba dać na imię Józef. Bo on lada dzień na świat przyjdzie, a dwudziestego siódmego świętego Józefa... To może i lepiej Józef, choć ja wolę, żeby był Antoni, Antek, jak Ty! O, już on musi we wszystkim być do Ciebie podobny... Mama mówi, że zpatrzenie bardzo dużo znaczy. Sama opowiada nieraz, że się często w lustro patrzyła, kiedy ze mną chodziła — i dlatego ja taka do mamy podobna! Więc ja też, ukradkiem, ciągle na Twoją fotografię patrzyłam, ciągle. Ale już najlepiej to lubię oczy przymknąć i myśleć o Tobie. Wtedy Cię najlepiej widzę —

i coraz to inaczej: a to, jakęś przyszedł pierwszy raz, w tym szafirowym krawacie, cotośmy się szturchały z Natalką i chichotały w kącie, że taki kropkowany... Ale Ci w nim było ładnie, ślicznie, Antosiu... To znowu, jak z kościoła wracałeś, taki poważny, skupiony, a jednocześnie mnie co chwila na ucho: „Marysienko, żono moja“ szeptałeś...

A najczęściej, to widzę Cię tak, jak wtedy w ogrodzie u wuja, na ławce... Czasami tak żywo to wszystko w oczach mam, że prawie czuję, jak mię za rękę trzymasz, prawie słyszę, jak mi te twoje słodkie cudne słowa szepcesz... Oj, Antku mój, kiedyż to znów...”

Tu ruda plama krwi zmasała resztę zdania, a potem już tylko pojedyncze słowa wyczytać się dawało: „Gdy wrócisz“... i „niech Cię Matka Boska“... A potem: „o mnie się nie niepokój, bo i mama i ciocia Paula i wszyscy mówią“... i jeszcze kilka słów, — i jeszcze, znowu jakaś data... dzisiejsza data, ważna, oczekiwana z niepokojem i utęsknieniem, data dzisiejsza...

Stłumiony szelest kroków nie zdołał wyrwać doktora z zadumy. Dopiero na dźwięk słów ocknął się:

— Panie Doktorze... noc już... późno! Tam w lazarecie czekają i przysłali mię...

— To już tak późno? Zasiałem się, nie wiedząc... — szepnął tamten.

— Gwiazdy na niebie oddawna! O, jaka to spadła jedna! — wykrzyknął żołnierz, zadławiwszy głowę ku górze.

Wówczas i doktor podniósł twarz i wpatrzył się w roziskrzone, granatowe niebo.

— A światłość wiekuista... — mruknął żołnierz, podnosząc z ziemi latarkę, w której żółtawym blasku trup poszarpany rysował się ponuro i straszliwie. — Tego, to jutro zagrzebią, o świcie... Pójdziemy, panie doktorze...

Doktorowi Wolskiemu, który wciąż patrzył na niebo, wydało się nagle, że nowa jakaś, mała gwiazdka zapaliła się zniemacka i poczęła świecić pośród mirjadów gwiazd bladym promyczkiem.

FEBRIS TYPHOIDALIS

FEBRIS TYPHOIDALIS.

Wiem, wiem... Probujesz unieść się na łapach, by potem, upatrzwszy chwilę, na pierś mi skoczyć i zdławić za gardło?

Ale i ja mam się na baczności. Z oka cie nie spuszczę, o nie, — ty bestjo szara i kudłata... Odwróć rozgorzałe oczy od mojej twarzy! Mam w dłoniach miecz obosieczny, ostry nad podziw. Wystarczy jeden ruch ramieniem... Co? Boisz się? Ha, ha! Wiedziałem, że się złękiesz...

I nie myśl, że nie rozumiem twoich zamiarów! Chcesz teraz odwrócić moją uwagę... Cofasz się ostrożnie, by przyprowadzić na pomoc dwie czarownice, które czyhają za węglem. Jedna ma włosy czarne, jak heban, a druga ogniste... Czatują przy oknie, uwieszone u futryn, i śmieją się, rechoczą pomiędzy sobą...

Może nie zgadłem? Oto jedna wysuwa warz bladą o wargach opuchłych... Wstrętna, pusza wiedźma ukryła w fałdach spódnicy śmiech pokrzywy...

Tak, jedno wahające spojrzenie — i obie gotowe rzucić się ku mnie... Pokrzywa poparzyłaby mi powieki i już nie mógłbym śledzić, jak uwijają się przy mnie, kradnąc najcenniejsze przedmioty.

Ale tamto, najważniejsze, zostało już dawno ukryte. Dwa jasne duchy o błękitnem spojrzeniu zawinęły skarb w promień księżyca. Promień błyszczał srebrzyście, a był miękki, jak włosy kobiece... Sam widziałem, jak mleczna, księżycowa kulka zmniejszała się w oddaleniu i wreszcie zawisła wysoko, w połowie drogi ku gwiazdom.

Potem dwa duchy o błękitnem spojrzeniu nasypały śniegowych płatków dookoła. Jeden niewielki płatek upadł mi na usta i miał zupełnie zapach jaśminu. A może to krzewy jaśminu w ogrodzie osypały się nagle, o jednej godzinie, miljonem białych gwiazdeczek?

...Wtedy zamknąłem oczy i leżałem, kołysząc się, jak na okręcie.

Morze jest zupełnie szafirowe i ciche, a lódz chylił się jednak w tył i naprzód, — naprzód i w tył, — albo na boki. Przejrzysta, zielona fala unosi mój mały statek na sobie, w górę, wciąż wyżej i wyżej, aż pod samo sklepienie, na którym widnieje skaza. To tynk popekał.

Potem fala opada łagodnie i dno mej łódki nieznacznie trzeszczy... Ktoś miarowo po-

rusza wiosłem za memi plecami, a potem szorstką, — nie, suchą i chłodną dłoń kładzie ni na czole.

Podnoszę powieki i widzę żagiel biały, pod nim oczy niebieskie, patrzące łagodnie. O są znajome oczy, kochane oczy, dobre oczy, niebieskie, niebieskie...

Dłoń znika, chowa się w fałdzisty rękaw. Kołysanie ustało. Teraz jesteśmy na lądzie. W głowie mi szumi po przebytych wrażeniach.

Więc to już wieczór? U sufitu, przysłonięta matowym kloszem, pali się mała lampka elektryczna i oświeca niewielki krążek białego tynku. Znajomy głos odzywa się w półmroku:

— Pić?

— Pić... pić... pić... — powtarzam uparcie. Chłodzący płyn, to chyba kawa. A może nie kawa? Wszystko jedno, ucisza pragnienie. Żeby zgrzytają o metalowy dziobek dzbanuszka. śc.

Aa! Teraz chłodno. Ruszajmy dalej!

To wcale nie jest lampa, tylko księżyc, ten sam, co przedtem. Mały zegarek tyka zrazu miarowo, potem nagle zmienia tempo, zwalnia, przyspiesza, a księżyc poczyną się śmiać i tańczyć po suficie i wypuszczać w przestrzeń snopy sztywnych promieni, jak macki.

Jeśli jedną macką dotknie mojego ciała, jestem zgubiony! Precz! Precz! Precz!

Szara bestja o jarzących oczach siedzi przyczajona w kącie, a dwie czarownice, ruda i czarna, rechoczą za oknem...

Aha! Więc to nie była zmora, senne widzenie? Oto potwór wysuwa pysk z ciemności i szczyrzy zęby. Baczność! Teraz nadeszła chwila. Musimy wziąć się roztropnie do rzeczy. Najpierw kudłaty potwór dostanie silne pchnięcie sztyletem pomiędzy ślepią, a potem — jednym skokiem dopadnę okna i schwyczę tę ruda, — tak, tę ruda, — za płomienną grzywe.

Co to? Proszę mnie puścić! Puść, powiadam!... Czy nie rozumiesz, że teraz obie uciekną, tak, wymkną się z pewnością przez małą furtkę od ogrodu!

Tam niema nikogo? Kto mi to powtarza?

Znowu zadźwięczał ten sam głos z za moich pleców:

— Tam niema nikogo.

— Uciekli zatem?

— Uciekli.

— Ha! — usiłuję się szarpnąć, ale ramiona omdlały z wysilenia, a głos dzwięczy wciąż pozamną:

— Nie wróć. Już nie wróć. Proszę się położyć i leżeć teraz cicho. O, tak...

Leżę cicho... Pod powiekami ciemność rozszczepia się na zielone, fioletowe i żółte

koła. Głos umilkł. Jest mi samotnie. Pytam nieśmiało, prawie szeptem:

— Kto jest przy mnie?

— Ja, — głos nabiera znów dźwięku, — siostra Zofja.

Ach, tak... Zmęczony jestem walką... Siostra Zofja... Siostra Zofja...

To nie jej imię powtarzał mi łagodny wiatr, gdy jechałem na czele oddziału, w pogodną, cichą noc... Tamto imię brzmiało słodko, było samo w sobie pieszczotą... Zaraz, jakże to było? Ułani śmiali „Haniś moja, Haniś“, kołysząc się zlekka na koniach, a wiatr powtarzał smutno „Helena“ i rozwiewał mi włosy pod czapki.

Potem, — w odmiecie walki, — wszystko zatarło się, pokryło mgłą czerwoną. Ta noc, ten zapach gryki na polach, to ciche szemranie przydrożnych drzew...

Zaraz... Jakże to było? Helena? Tak. I medalik na szyję, małeńki, dziecięcy medalik ze świętym Antonim Padewskim...

Tak... Pocałował mnie ktoś nieśmiało dotknięciem warg świeżych, dziewczęcych... Dworek bielony z gańkiem... Tak, drzewa pokryte zielenią, ule w słońcu... Mała steczka skroś łąki, porostej tymotką... Tak, Helena.

To wszystko brzmi, jak z czarodziejskiej

bajki. To wszystko zlewa się w jedną, cudowną pieśń i ma na imię Helena...

Zapachniało stogami siana, cząbrem, macierzanką... Jaka znów siostra Zofja? Skąd siostra Zofja? Jedna jest tylko na świecie taka o niebieskich oczach, — Helena z białego dworku... Siostra? Nie, nie siostra. Narzeczona, Helena, tak, tak...

Teraz już rozumiem przyczynę mojej długiej tęsknoty, rwącego niepokoju... Trzeba iść zaraz szukać... Odszukać.

— Siostrzo Zofjo? (ach, jak dziwacznie brzmi to obce imię!)

Niebieska smuga oczu patrzy na mnie z pod białego zagła.

— Co? Co takiego?

— Pójdę odszukać ją. Muszę iść zaraz. Siostra mnie rozumie? Muszę natychmiast odszukać ją.

— Tak, tak, — drgają fale powietrzne, a głos brzmi bardzo z daleka, — tylko jeszcze nie można w tej chwili. Potem, potem...

— Dlaczego tak? Ona czeka w białym, opuszczonym dworku... Może obrabowali go złodzieje? A ona siedzi wśród połamanych sprzętów, sama — i płacze, łzy muszą kapać na nieruchome kolana... Trzeba iść zaraz, siostrzo.

Smuga błękitna przygasa pod zasłoną rzęs nigdy nie widziane usta poruszają się znowu

— Dobrze, ja pójdę, poszukam.

— Trzeba odnaleźć...

— Dobrze, ja odnajdę. Ale teraz proszę leżeć spokojnie bez ruchu, zupełnie bez ruchu. I trzeba jeszcze to wypić. I czekać cierpliwie, aż wrócę!

Przyrzekam, choć jestem pełen niepokoju. Kto wie, czy wiedźmy nie zaczęły się jednak pod oknem?... Ha! Na pierwszy okrzyk zerwę się z miejsca i nie dam pochwycić ofiary!

O, mam się teraz na baczności! Niedarmo sine twarze zabitych patrzyły na mnie z bezgłośnym śmiechem tam, w polu...

...Trzeba się umieć podkraść ostrożnie, wypaść znienacka, a gdy twarz wroga zmartwieje z przerażenia, — uderzyć mocno i pewnie... I koniec. Jęk przeciągły, albo krótkie, zabawne stęknienie, niby szczek małego, przyduszonego psiaka... I koniec.

Najgorzej posuwać się potem naprzód, zwłaszcza, gdy wichur wieje po ciemnych wertach... W każdym krzaku przyczajonym dookoła szeleści coś, każda gałązka czepia się rąk płaszcza, a na czarnym tle nieba połyskują chwila srebrne, węzowe nitki znikliwych wiatelek...

Wówczas strach jeży włosy i w gardle dławia okrzyk:

— Towarzysze! Towarzysze!

Stopniowo lęk przygasa, wiatr osusza krople zimnego potu na czole. Śmierć wyszczerzyła tylko zęby w uśmiechu szyderczym, ale tym razem przebiegła mimo...

Potem noc, przepędzona przy świetle papierosowych ogników. Rannych zniesiono do szopy. Zdrowi szczękają zębami z zimna, biją się kulakami po plecach.

Tylko ja jeden uczuвам teraz pełną rozkosz życia. Żyje! Nogi mam całe!... Rece, głowę całą... W gardle buzuje okrzyk radośnego tryumfu: Hop hop! Hallala! Servus, towarzysze!

Ech, szrapnel przeleciał... — Głupstwo! — Nad głowami przefrunął, wysoko, szybkołotny, krwiożerczy ptak... Pewnie już dziobem uderzył w upatrzoną ofiarę, rozszarpał ją na sztuki, tam, gdzieś, daleko stąd...

A teraz drugi — bliżej... A teraz trzeci, czwarty... Coraz bliżej... Ha! Ten następny trafi w nas samych i zbije w krwawą miazgę wszystko, co żyło, śmiejąc się przed chwilą do własnych myśli!

Ta straszna chwila oczekiwania, ta jedyna chwila, najkrótsza w życiu, a przecież długa, jak ludzkie istnienie...

Stanie się! Stanie się... Jezus, Marja! Błysk... Krew... pełno krwi!...

— Siostrzo Zofjo! (Niema jej!) Siostrzo Zofjo!
Siostrzo Zofjo!...

Więc tak się oto człowiek w przestrzeni zatacza! Lecę gdzieś w przepaść bez dna... Jeszcze wokoło wirują światy, — jeszcze gwiazdy wirują, czerwone, złote, zielonkawe...

I już bledną... Są coraz wyżej i coraz białsze. Już gasną...

Teraz jestem gdzieś, na samym krańcu mego istnienia. Leżę. To, na czym spoczywam, nie jest ziemią, ale nie spadam już niżej. Skończyła się podróż.

Mógłbym może otworzyć oczy i spojrzeć, rozejrzeć się... A możebym i nie mógł? Jeżeli nie mam oczu? Jeżeli nie istnieję wogóle?

Istnieje. Jest mi dobrze. Nie chcę o niczym myśleć. Nie. Tak jest dobrze. Istnieje głowa moja, a w niej pracują myśli, chociaż leniwie. Na piersiach cięży coś, ale niebardzo. Powietrze pachnie, jak sama wiosna. Jest dobrze.

Teraz trzeba uczynić wysiłek, duży, ogromny wysiłek. Trzeba jednakże podnieść ołowiane powieki.

I co? W oczy uderza silny blask, tak silny, że muszę je przymknąć na chwilę. I teraz, przez szpaler rzęs światło się sący białe,

zupełnie mleczne, łagodne, jakby przecedzone przez cieniuchną gazę.

Powoli, powoli rozchylam znów powieki...

Pokój... Okno... Tak, okno. W oknie białe, perkalowe zasłony. To one przesiewają tak subtelnie słoneczny blask. Bo tam, za oknem, jest słońce. Przez niedostrzegalną szparę przekradł się jeden promień, jak włócznia, brylantami sadzona, i przeświecił stojące na stole kwiaty, pełną wesołych primulek doniczkę.

Na fotelu, pod oknem siedzi ktoś w białym zawoju na głowie, z twarzą pochyloną... Coś czyta.

Jak dobrze... Jak białe... Jak pięknie! Oddycham szerzej, mocno, głęboko, pełną pierśią.

Biała postać odrywa się od okna, podchodzi ku mnie. Poczciwą twarz rozjaśnia pogodny uśmiech, ręka delikatnie poprawia poduszki.

Słucham, jak cichy, znajomy głos przemawia do mnie:

— Jakże teraz? Lepiej?

— Lepiej, siostro, — odpowiadam i sam się dziwię tej nazwie. Wiele, wiele pytań ciśnie się do głowy. Ale od czego zacząć, od czego? Jest mi tak, jakbym się dopiero na świat narodził, — wszystko wokół nieznane, zadziwiająco nowe. Nareszcie pytam z wahaniem:

— To... ja jestem chory?

Siostra potakuje i mówi, ciągle z tem szczęściem w głosie:

— Był pan chory, panie poruczniku. Teraz Bóg wraca zdrowie.

— Ach, tak...

Już nie mam dalej tematu. Wątek myśli się rwie. Coś w głębi świadomości majaczy niewyraźnie... Koszary, potem jazda stępą przez nawpół zamarzłe bagniska... Potem nocleg w polu. Żydowskie miasteczko... Deszcz ukośny w oknach brudnego zajazdu... Stęchła herbata... Znów jazda stępą... Znowu miasteczko... Ziąb, dreszcze, gorączka...

Dalej pamięć nie sięga.

— To ja tu dawno leżę? (Co znaczy „tutaj“ — sam nie wiem...).

— Tak, dawno. Ale już, chwała Bogu...

Niebieskie oczy patrzą pocziwie z pod szerokiego zawoju. Gdzie ja te oczy widziałem? Bo znam i oczy i głos...

Niebieskie smugi i żagiel... Tak.

— A siostra... kto? — pytam niepewnie.

— Ja? Siostra Zofja. Ja pana pielęgnowałam, bo nie było nikogo z domu od pana, ale teraz...

Uśmiecha się coraz weselej i mówi szybko:

— Tylko proszę się zanadto nie cieszyć,

bo jeszcze zaszkodzi... Ma pan list z domu,
od brata. Ja potem panu przeczytam...

Przemykam oczy, ale ję znów otwieram
w radosnem zdumieniu, bo siostra Zofja ręką
na stolik wskazuje i dodaje serdecznie:

— A te kwiaty to jedna pani przyniosła.
Panna Helena. Ona tu pewnie przyjdzie nie-
długo...

NARZECZONA

NARZECZONA.

Pamięci Zygmunta Wiślickiego.

Powaliły cię wyroki Boże
O, Młodości ty strzaskana kolumno!
Codzień, codzień, o tej samej porze
Idę zwolna — idę za Twoją trumną...

Idę wolno, — wspomnień rolę tłumię, —
Chcę przed losem czoło schylić w pokorze...
— A me serce zapomnieć nie umie...
— A me serce zapomnieć nie może...

Kędy jesteś? Kędy jesteś w tej chwili?
— Kędy jesteś, tam wzrok ludzki nie sięga; —
Ludzie starszy, ludzie mądrzy mówili
Żeś jest wielka, niezmierzona Potęga...

Jeśli jesteś tak odemnie daleko,
Jeśli jesteś taki obcy, nieznany, —
To dlaczego łzy po Tobie mnie pieką,
A wspomnienie Twe boli, jak rany? — —

O, daremnie zapomnieć, daremnie!...
Nie rozdzieli czarne trumny wieko; —
— I któż mówił, żeś tak odszedł daleko,
Gdyś jest przy mnie — i nademną — i we mnie...

* * *

Dwudziestego lipca zapisał się Jerzy do wojska, jako ochotnik. Jedenastego sierpnia wyruszył na front, piętnastego już nie żył.

Ale o tem nie wiedziała tak zaraz ani matka, ani nikt z bliższej rodziny, ani Anka.

Anka wróciła do Warszawy na krótko przed odjazdem Jerzego. Wróciła opalona i czerstwa ze wsi, od siostry ciotecznej, u której spędziła kilka dobrych, słonecznych tygodni letnich.

Jerzy był już w mundurze, gdy przyszedł jej powiedzieć o wszystkim.

— Tak, domyślałam się... Tak, tak, wiedziałam, że to zrobisz... — powtarzała Anka jakimś matowym, białym głosem. Potakiwała głową, gdy opowiadał w krótkich, urywanych zdaniach wszystko, co przeżył, nim przyszła decyzja.

— Bo teraz, teraz właśnie jest chwila! — mówił Jerzy, — teraz każdy powinien iść. I właśnie na front. Nie do żadnych rezerw, ani biur, tylko na front.

— Naturalnie, masz słuszość, Jerzy. Tak, tak trzeba...

Anka słyszała dokładnie, jak każdy pojedynczy wyraz, wybiegający z jej ust, uderzał, niby mały, twardy kamyczek, w dno czaszki. Tak, pod czaszką, pomiędzy czaszką a mózgiem słyszała Anka te krótkie, tępe uderzenia swych własnych słów. Powtarzała je gorączkowo, z uporem, chociaż zarazem trochę tak, jak się powtarza czasem słowa codziennego pacierza: Wyrazy biegną z ust same, świadomość ich znaczenia przychodzi dopiero potem, lub nawet wcale.

Anka nie ogarniała świadomością treści wypowiedzianych słów. Cała ta rozmowa była, jak utwór, grany na niemej klawiaturze. Pełnię tonu, znaczenie każdego dźwięku, każdej litery w sylabie wydobył później, o wiele później — czas.

Teraz — siedziała prawie nieruchomo, z głową, opartą na wysokiej poręczy fotela. Słuchała, przymknawszy oczy, a gdy podniosła ciężkie powieki, wzrok jej natrafiał zawsze na bujną, falistą czuprynę Jerzego. Siedział nisko, niemal u jej stóp, na małym podnóżku i mówiąc, bawił się frendzlą od fotela. Anka nie mogła dojrzeć wyrazu jego oczu w chwili, gdy powtórzył, że wkrótce odjeżdża. Twarz miał w cieniu, — i może dlatego myślała tylko o tem, że włosy Jerzego są piękne i że je miło głaskać powolnym, pieściwym ruchem ręki.

Cały ten tydzień przed odjazdem Jerzego minął, jak we śnie. Spotykali się raz, dwa razy dziennie i zawsze na krótko. Jerzy miał ćwiczenia, Anka miała dyżury w jakiejś kantynie żołnierskiej, jakieś rozliczne prace społeczne, jakieś sprawunki. O tym wyjeździe mówili krótko, treściwie, jak o temacie, który już został zupełnie wyczerpany. Anka informowała się tylko codziennie, kiedy ma nastąpić wymarsz, — Jerzy nie wiedział nic pewnego pozatem, że niezadługo.

Potem, — idąc pod rękę na krótki, niemal kradziony spacer, milczeli, patrząc każde przed siebie, albo mówili o tysiącu potocznych spraw.

Bo tyle było rzeczy ważnych, pilnych, naglających...

Wreszcie wpadł kiedyś Jerzy z nowiną:

— Już jutro wyruszamy!

Nazajutrz Anka, obudziwszy się, pomyślała: „Już dziś“ i zaczęła się ubierać.

Czyniła to powoli, starannie, zupełnie bezmyślnie. Spostrzegłszy jakąś małą plamkę na sukni, zrzuciła ją i włożyła drugą, czystą. Długo przypinała kapelusz przed lustrem i dopiero patrząc na bransoletkę zegarka, już na ulicy, pomyślała:

— To Jerzy odjeżdża.

Ale i ta myśl przebrzmiała bez echa w jej mózgu.

Z trudem przedostała się na peron i przebiegała oczami wagony, szukając Jerzego. Stał na stopniach, w tłumie żołnierskim. Taki był podobny do innych, cały szaro-brunatny, z węzelkiem w rękę... Taki jeden z tysiąca, — z setek tysięcy...

Na widok Anki zeskoczył i podbiegł do niej. Rzucili się sobie w objęcia i uścisk ich trwał długą chwilę. To się tak samo stało.

A potem Anka wyjęła batystową chusteczkę i powiewała nią — i uśmiechała się. Pociąg stał jeszcze, ale Jerzy był już w wagonie. Wychylił głowę przez małe ramy okienka i dawał jej znaki rękoma, bo wkoło był gwar i hałas piekielny. Anka powiewała ciągle chusteczką, oparłszy się plecami o jakieś kufry, naładowane na wózek, i uśmiechała się bezustanku.

Uśmiechała się jeszcze i potem, gdy pociąg ruszył i gdy ostatnie wagony oddalały się z rytmicznym stukotem, — a ręka jej z chusteczką zataczała coraz to większe kręgi, w miarę, jak pociąg odjeżdżał.

Na peronie gwar zmalał o połowę. Ludzie, którzy odprowadzali wyjeżdżających, poczęli się tłoczyć ku wyjściu. Anka opuściła powoli ramię i dopiero teraz poczuła, że jej ręka zupełnie zdrętwiała. Ogarnęło ją nagle zmęczenie, jakby po jakimś gwałtownym wysiłku.

Wróciła do domu dorózką, bo nie miała odwagi czekać na tramwaj — i położyła się zaraz na łóżku.

W głowie jej huczał kołowrót przebytych wrażeń. Tłok, hałas na peronie... Ludzie, spieszący we wszystkich kierunkach, żołnierski tłum, Jerzy w oknie wagonu.

Tak, Jerzy.

Anka uczuła raptownie w sercu bolesne ukłócie: Jerzy... Tak, odjechał. No tak, odjechał, Jerzy, wiem... Odjechał... no, wiem przecież. Tak, na front.

Za każdym słowem ponawiało się to ukłócie, sprawiane jakby poruszeniem cienkiej, niewidzialnej igielki.

Ale to jeszcze nie była tęsknota. Tamto zjawilo się dopiero później.

* * *

Siedemnastego sierpnia przyszła kartka od Jerzego. Anka znalazła ją wieczorem na stole, gdy powróciła zmęczona do domu po całodzienną bieganie.

Była teraz jeszcze bardziej zajęta. Dyżurowała w kantine po kilka godzin, brała udział w zakładaniu jakiejś czytelnii. Chodziła na posiedzenia różnych stowarzyszeń kobiecych... „Działała” społecznie...

Ogłuszała się pracą aż do zupełnego stę-

pienia. Po powrocie do domu kładła się spać natychmiast i zasypiała, jak kamień.

Zapaliwszy lampę, spostrzegła zaraz na stole brudną, wymiętą kartkę pocztową. Anka była tak zmęczona, że z trudem odczytywała niewyraźne, trochę koszlawe pismo, nakreślone ołówkiem. Jerzy pisał jeszcze w wagonie. Przesyłał moc serdeczności, więcej, niżby się na tej kartce pomieścić dało. Tęsknił, już do niej tęsknił szalenie. Obiecywał pisywać tak często, jak tylko będzie mógł. Postara się wpaść kiedy do Warszawy... Ale to pewnie nie zaraz nastąpi... Gdy już na froncie nie będzie tak „gorąco“!

Wzdłuż kartki było jeszcze drobniuchnem pismem *post scriptum*: żeby Anka zaszła do jego mieszkania, bo tam, w szufladzie jest list do matki. Zapomniiał wrzucić. I niech ona, Anka, też kiedy napisze do niej. O to ją bardzo prosi — Jerzy.

Anka siedziała długo z tą kartką w ręku. Odczytywała ją parokrotnie, chociaż czytając, nie czuła wzruszenia.

Myśli jej wybiegły daleko, daleko, — w te czasy, gdy odbywali z Jerzym długie przechadzki nad Wisłą. Opowiadał jej wówczas dużo o sobie, o domu swoim, o matce. Opisywał każdy klomb kwiatów przed oknami i jak się wily ścieżki pomiędzy rzędami roso-

chatych jabłoni. Opowiadał, że matka jest dobra i słodka, że ma włosy zaczesane gładko na skroniach i takiego koloru, jak on.

— Matka mnie zawsze nazywa „Jerzy“, ale mówi to, jak najslodsza pieszczotę... — powiedział kiedyś Ance. Odtąd starała się miękko, łagodnie powtarzać jego imię i patrzyła mu przytem prosto w oczy.

Mówili także o tem, jak to będzie, gdy on ukończy studja i wreszcie do domu powróci. Naturalnie, przyjedzie tam z Anką. Ale ją przedtem jeszcze przywiezie. Tak, matka nic nie wie dotąd, ale się dowie. Jerzy nie chce do niej pisać. To można tylko powiedzieć, wyszeptać raczej, z ustami przy twarzy matczynej, z rękoma, zaplecionemi wkoło jej ramion...

Anka uśmiechała się do niego, jak do dziecka, a on marzył dalej:

— Wiesz, powiem jej tak: mateńko, myślałem zawsze, że tylko ty jedna jesteś taka na świecie, a teraz znalazłem kogoś... kogoś...

Mówił bardzo cicho. Głowy ich pochyliły się ku sobie, tak, że policzki niemal się stykały. Nagle, z pobliskiego drzewa sfrunął mały listek akacji i mignął im przed oczami. Głowa Anki odskoczyła raptownie w bok, a Jerzy, goniąc wzrokiem opadający listek, powiedział:

— Ona cię będzie bardzo kochała, Anko.

*

*

*

Ta kartka, pisana z drogi, była jedyną, jaką Anka dostała od Jerzego.

Nazajutrz poszła do jego mieszkania. Odszukała je z trudem. Był to mały pokoik w ogromnym szarym domu. Stróżka nic nie wiedziała. Dopiero, gdy Anka dorzuciła, że ten pan, student, niedawno poszedł do wojska, przypomniała sobie, że w oficynie mieszkał taki jeden i pokazała Ance, którędy trzeba iść.

Przechodząc przez głębokie, jak studnia, podwórze, Anka podniosła oczy na szeregi okien w nagiej, surowej ścianie i pomyślała mimowoli:

— Przez jedno z nich spoglądał Jerzy...

Uderzyła ją niemile forma tej myśli, wyrażonej w czasie przeszłym, niby m e m e n t o, że go tu niema.

Weszła nerwowo na schody, na trzecie piętro. Były to studenckie pokoje, z drzwiami na wspólny korytarz. Na pierwszych widniał napis: „numerowy“. Anka zastukała i kazała sobie otworzyć pokój Jerzego.

Thusta babina o płaskiej, pocziwej twarzy, sięgając po klucze, spytała:

— A pani pewnie siostra, co?

— Nie, — odparła Anka, — narieczona.

Słowo to, wymówione głośno, napęliło ją zdumieniem, że brzmi tak nowo i obco.

Przecież Jerzy jak dzieciak powtarzał je po stokroć. Zaczerwieniła się mimowoli i chcąc pokryć własne wzruszenie, dodała coś o liście i o poleceniu wysłania go.

— Dobrze, dobrze, wszystko tam jest w porządku, sama panienska zobaczy. Kurze nawet ścieram codziennie, chociaż to i niewiadomo, kiedy pan z tej wojny powróci!

Drzwi otwarły się z lekkim skrzypnięciem i Anka weszła.

Był to niewielki pokoik o jednym oknie, umeblowany milutko. Nieliczne sprzęty nosiły na sobie piętno wiejskiego dworku. W rogu stało łóżko z wiśniowego drzewa, pod oknem stolik na wygiętych nóżkach, pokryty kawałkiem zielonej bibuły.

Na samym wierzchu w szufladce leżał ów list. Anka wzięła go — i stojąc pod oknem, patrzyła na pokój. Baba czekała we drzwiach, zdradzając widoczną chęć nawiązania rozmowy.

Anka wiedziała, że nie ma tu już nic do roboty... ale to był pokój Jerzego...

Niezdeterminowanym, nieswoim krokiem zbliżyła się do komódki, na której leżały stosy książek. Wzięła pierwszą z brzozy: coś o terenoznawstwie. Druga o paszy dla koni.

— To wszystko trzeba schować do szafy, — rzekła, obracając książkę w ręku. Uchyliła kartę okładki. Na pustej stronie widniało

nazwisko Jerzego i zamasyżście napisana data: trzeci rok studjów...

— Jak panienska uważa, — odparła numerowa ode drzwi. Anka zakręciła się po pokoju, obrzucając wzrokiem puste ściany. Gdzieś niegdyś sterczał gwóźdź.

— Obrazki pan sam pochował do kuferka. Stoi pod łóżkiem. A! to już teraz przypominam sobie! Tutaj wisiała panienska fotografja, we śkle, w ramce... Ale to musi pan zabrał ze sobą.

— Tak, pewnie, tak... — szepnęła Anka i skierowała się ku wyjściu. Coś ją nagle zdławiło w gardle. Zabrał ze sobą... ją, Ankę... No, tak!

Wsunęła babinie pieniądze do ręki i wyszła prędko, skinieniem głowy odpowiadając na słowa, biegnące wślad:

— Serdeczne dzięki paniencie! Żeby też Pan Jezus dał jaknajprędzej...

Na ulicy Anka zwolniła kroku. Ogarnęła ją nagła niechęć do powrotu, do widoku ludzi, do czekających zajęć...

Bezwiednie skierowała się w stronę parku. Weszła i zasyłała się odrazu w jakiś odludny zakątek.

Mała ścieżka biegła poprzez zarosły krzakami trawnik. Były to przeważnie młode drzewka bzu o liściach zakurzonych i burych,

brzydkich i smutnych w tej porze roku. Powyżej zieleniały akacje, strojne przepychem nowych, tegorocznych pędów, i sztywne, rozczapierzone klony.

Południowe słońce padało z wysoka, skracając karłowato cienie na trawie. U brzegu ścieżki, na tle pstrych kwiatków łąkowych, rosnących tu niepowołanie, sterczała pokraczna, żelazna ławka na wykrzywionych nogach, niby potworny, skamieniały taks.

Anka usiadła na niej i zakrywając dłońmi oczy od promieni słonecznych, jęczała cicho:

— Jerzy... Jerzy... Jerzy...
Tu już się zaczęła tęsknota.

*

Wlokły się * nieme, tępe dni * wyczekiwania.

Przychodziły, jeden po drugim i mijały, zapadały w wieczność, ginęły. Na ich szarem tle, niby na kanwie, snuć się poczęła tkanina niepewności, wzrastającej z dnia na dzień troski, złych przeczuć. Zrazu wszystkie barwy były niepewne i mgliste, lecz potem coraz częściej, coraz czerwieńszy rozpałał się żrący płomień nieugaszonych obaw. Niepokój i tęsknota dziergać poczęły swoje fantastyczne, boleśnie smutne kwiaty.

Nadomiar smutku, nieboj rozpląkało się nieutulonym, długotrwałym deszczem.

W kantynie żołnierze dowcipkowali, ku-

pując papierosy i papier listowy, na temat wojny, deszczu i miłości. Anka podchodziła do okna i przyciskała czoło do szyby. Miała wówczas wrażenie, że to z jej oczu płyną kręte strumienie łez i ściekają po gładkiem szkłe, aż do ram okiennych.

Pokój rozbrzmiewał od piosenek, śpiewanych chóralnie. Czasami wylawiała z gwaru jakąś zwrotkę i powtarzała ją w myśli, monotennie, w takt deszczowych kropel, tłukących o okno:

Wojenko, wojenko,
Cóżes ty za pani,
Że dla ciebie giną,
Że dla ciebie giną
Chłopcy malowani...

Oddzielała równomiernie sylaby i wówczas każdy dźwięk zosobna był, jak kropla deszczu.

Nie mogła teraz bez ściśnięcia serca patrzeć na roześmianych żołnierzy, którzy wchodzili, stukając podkutymi butami, otrząsali płaszcze zmoczone i grzali ręce nad żelaznym piecykiem. W duszy jej kiełkowało niejasne przekonanie, że przecież nie można się tak głośno, beztrosko śmiać, żartować z przygód wojennych, ze śmierci, kiedy Jerzy... Jerzy...

Dalej nie kończyła tej myśli. Ogromnym wysiłkiem woli stawiała tamę jej biegowi,

taką wielką, żelazną zaporę, za którą nie wolno przejść, bo tam jest — N i e w i a d o m e. Patrzyła znowu przez okno w mrok uliczny, rachując miarowe krople, dzwoniące o rynny, albo światelka w oknach domu naprzeciwko.

Nie wyglądała już listu. Za każdym dzwonkiem lub odgłosem kroków na schodach serce jej zamierało z trwogi. Bała się teraz wieści o Jerzym, — nie chciała myśleć o nim... co się z nim dzieje... Na każdy wewnętrzny nakaz, że przecież się trzeba dowiedzieć, odpowiadała sama sobie: „Potem, potem...”

Któregoś wreszcie dnia (ulice były znowu pełne żółtego, jesiennego słońca) poszła do sztabu. Siadła na ławeczce w poczekalni, pełnej interesantów.

Ludzie wchodzili i wychodzili, kobiety stare, młode, wojskowi. Wiele osób przesunęło się przez pokój. Coraz to otwierały się i zamykały któreś drzwi, ktoś przechodził z plikiem papierów w ręku. Anka siedziała nieporuszona, ze wzrokiem, utkwionym w dużą, kolorowaną mapę, przytwierdzoną do ściany przeciwległej. Machinalnie liczyła świecące punkty gwoździaków: „Trzy, sześć, siedem... Trzy, sześć, siedem...” Jednego w dole brakowało. Tak, trzy, sześć...

Woźny podszedł ku niej i spytał, na kogo czeka. Anka ocknęła się nagle. Poczula, że

jej w gardle zupełnie zaschło. Chrząknęła i wymieniła woźnemu cel swego przybycia.

— To pierwsze drzwi na prawo. Może pani tam wejść. Nikogo teraz niema.

Skinęła mu głową na znak, że rozumie, ale nie poruszyła się z miejsca. Po chwili spostrzegła, że woźny śledzi ją z pod oka. Wstała więc i poszła we wskazanym kierunku, starając się iść równo i pewnie.

Jakiś wojskowy siedział przy biurku, zarzuconym papierami. Podniósł oczy, gdy weszła, i czekał pytająco. Miał powieki zlekka zaczerwienione i dwie głębokie, surowe brzoźdy na czole.

— Nazwisko? Pułk? Jeśli pani łaskawa...

Anka odpowiadała na pytania, silnie akcentując wyrazy. Liczby powtórzyła dwukrotnie, — żeby nie było pomyłki.

Wojskowy począł przeglądać jakieś papiery, wynotowywał coś na małej kartce. Wreszcie, podniósłszy znów oczy w zmęczonych powiekach, oznajmił, że szeregowiec, wymieniony przez Ankę, poległ już dawno.

Sprawdził coś raz jeszcze i powtórzył:

— Tak, w bitwie pod Radzyminem.

— Kiedy? — spytała cicho.

— Piętnastego sierpnia. Rodzinę zawiadomiono przed tygodniem.

Począł tłumaczyć, że zwłoka wypłynęła

z powodu braku danych. Nie było pewności. Teraz już stwierdzono, że zginął właśnie w tej bitwie. Pochowany na miejscu. Tak.

Anka strącała rękawiczką jakiś pyłek z biurka. Czuła, że musi na czemś skupić uwagę, inaczej stanie się z nią rzecz dziwna, niesłychana. Czuła, że wojskowy patrzy na nią badawczo i jakby wyczekująco. Miała ochotę głośno mu się w twarz roześmiać, ale on nagle zapytał:

— Zapewne... pani jest krewną poległego?

— Nie. — odparła Anka. Ukłoniła się sztywno i wyszła.

Przechodząc przez poczekalnię, spojrzała znowu na mapę. Woźnego nie było przy drzwiach.

Wyszła wolno, rozglądając się, jakby pierwszy raz widziała to miejsce. Na brzegu chodnika, w rzadkich odstępach, rosły kasztany. Były już niemal zupełnie rude. Anka wciągnęła głęboko w płuca jesienne, czyste powietrze, myśląc:

— Jaki ten dzień jest cały złoty!

I nagle przypomniła sobie mały listek akacji, który spadł z drzewa wówczas, gdy Jerzy roił tak słodko o domu. To było na wiosnę i listek miał barwę zupełnie zieloną.

— Jerzy! Jerzy! — wołało coś w głębi jej serca. Zaszła daleko, w Aleje, i potem do Łazienek, w dół.

Na stawie pływały dwa białe łabędzie, a woda odbijała całą gamę barw zielono-złotych i złoto-purpurowych.

— Jerzy, Jerzy... — szeptała Anka bezwiednie. Siadła na kamiennych stopniach i opłótła rękoma kolana.

Zdala od brzegu jeden z łabędzi zatrząpiał nagle skrzydłami. Po gładkiej powierzchni rozeszły się kręgi i małe fale dotarły aż do brzegu. Anka pochyliła głowę i patrzyła w wodę, dopóki fale nie znikły zupełnie.

Wtedy zobaczyła wyraźnie swoje odbicie: spokojną twarz na głęboko błękitnem tle nieba.

* * *

Herbata, przyniesiona przez posługaczkę, stygła na stole.

Było już zupełnie ciemno, gdy Anka wróciła do domu. Bolały ją nogi, czuła zmęczenie we wszystkich mięśniach. Przesiedziała nad stawem do zmierzchu, aż chwycił ją nagły, wstrząsający dreszcz. Wróciła do domu, szczękając zębami z zimna. Ręce miała zupełnie, jak dwie bryłki lodu. W głowie natomiast czuła war, jakby czaszkę napęłnił ktoś wrzątkiem. Rozebrała się z palta, zdjęła kapelusz i usiadła martwo na krześle, przy stole.

Posługaczka weszła znowu do pokoju. Zapaliła światło, a widząc Ankę, spytała:

— Może odegrzać herbatę?

— Herbatę? Dobrze... — odparła Anka sennym głosem.

— Panienska, musi, przeziebła! — odezwiała się znowu służąca, stawiając imbryk na gazie, — takie ma panienska sine rączki!...

Anka spojrziała na swoje ręce, złożone na sukni. Były rzeczywiście sine od zimna. Przypomniła sobie, że Jerzy porównał kiedyś jej ręce do lilji. Do dwóch białych lilji... Tak wtedy powiedział, a potem całował te ręce długo i gorąco, aż mu kazała surowym głosem zaprzestać.

— Czy panienska aby nie chora?

— Nie, być może, przeziebłam trochę. Gdzie ta herbata?

— Już tycio — tycio się zagrzeje. Ale panienska, — dodała, patrząc na nią, — musi chyba ma jakie zmartwienie?

— Ja? Zmartwienie? Nie, nie mam żadnego. Niech Walentowa postawi tu herbatę, o tu... I proszę sobie już iść. Głowa mię boli.

Czekała niecierpliwie, aż służąca wyjdzie. Pragnęła zostać sama, koniecznie sama, — zupełnie sama.

Podeszła zwolna do szafy z lustrem i długo, uważnie badała własne odbicie. Zmartwienie? Czy ona ma jakie zmartwienie? I czy to można

nazwać zmartwieniem, — to ogólne znieczulenie wszystkich tkanek mózgu i serca?

— — Dlaczego ja nie mogę płakać, — pomyślała, — przecież Jerzy...

I znów nie dokończyła tej myśli. Na schodach dały się słyszeć jakieś kroki. W Ance na chwilę serce przestało bić, — przycisnęła je mocno rękoma i czekała nieporuszona.

— To on... może to on... — tłukło się po głowie pytanie.

Kroki ścichły. Serce Anki znów biło rytmicznie. Osunęła się na ziemię, pod lustrem, i patrząc na drugą siebie, klęczącą z załamaniem rękoma, poczęła się skarżyć cichutko:

— Jerzy, Jerzy... Dlaczego nie przyszedłeś... Dlaczego nie przychodzisz, Jerzy?... Tak czekam...

Nie wierzyła w Jerzego śmierć, — nie mogła jeszcze rozpaczać. Tęsknota za nim, za żyjącym, ogarnęła ją purpurowym płomieniem.

* * *

Nazajutrz wstała z silnym bólem głowy, chora zupełnie. Poszła jednakże do kantyny, lecz tam dostała dreszczy i koleżanki wyprawiły ją do domu.

Wracała powoli, wybierając, jakby umyślnie, najdłuższą drogę. Szła w tłumie ludzkim,

potrącająca i potrącana, obojętna na wszystko, co się dzieje wokół.

Nagle wydało jej się, że idący przed nią wojskowy, to...

— Jerzy! — omal nie krzyknęła głośno. Wojskowy skrzyknął w boczną ulicę i wówczas dojrzała jakiś obcy, wąsaty profil.

Taka pomyłka powtarzała się potem niejednokrotnie. Ten miał oczy, podobne do Jerzego, tamten uśmiech... Za jakimś żołnierzem gonila kilkanaście kroków przez ulicę, bo miał zupełnie Jerzego plecy, sposób trzymania głowy i chód.

Po każdym rozwianem złudzeniu przystawała na chwilę, skupiała myśl, mówiła nieomal głośno:

— Co ja wyrabiam? Co się ze mną dzieje? Przecież to szaleństwo, szaleństwo...

Odtwarzała w pamięci scenę ze sztabu. Przypominała sobie, jak wyglądał wojskowy, który jej o śmierci Jerzego oznajmił. Przeżywała, starała się przeżywać nanowo to wszystko...

— Jerzy poległ. Poległ pod Radzyminem, już dawno... — powtarzała, starając się naśladować nawet intonację głosu owego człowieka. Wymawiała każde słowo z namysłem, powoli, jak dziecko zadana lekcję, której nie rozumie, — a której mu się kazano nauczyć.

Potem wzrok jej biegł w tłum, i znowu powtarzało się to samo. Znowu serce jej drgało ze wzruszenia na widok jakiejś zawadjacko nasadzonej furażerki, jakiejś wysokiej, smukłej sylwetki w szarym mundurze...

Pewnego dnia (było to już bardzo późną jesienią) szła, jak zwykle, ulicą, — zapatrzona w nieokreślony punkt, zamyślona o niczem.

Idąc, liczyła tafle chodnika, albo upajała się stukotem obcasów po bruku, albo nuciła wewnętrznie jakąś dziwaczną melodię, w takt własnych kroków. Nagle, na jakimś placu musiała przystanąć, ponieważ środkiem sunął kondukt pogrzebowy.

Na przedzie szło wojsko. Kompanja żołnierzy z muzyką. Potem — zakrystjan z krzyżem, ksiądz; — potem jechał karawan, pokryty stosem jesiennych wieńców. Trumny prawie nie było widać, osłaniały ją liście złote i brązowe i długie, powiewające wstążki. Za trumną chłopak w żołnierskiej kurtce i butach wysokich prowadził konia osiodłanego za uzdę.

Potem, dopiero potem szli inni...

Anka stała, jak wryta i patrzyła na milczący pochód. Wojskowa muzyka poczęła nagle grać marsza. Było coś przeraźliwie smutnego w tych rozlewnych a potężnych dźwiękach i w szeleście wieńców na trumnie,

które chwiała się i migotały wszystkie odzieniami barw jesiennych.

W znacznej odległości od karawanu, od szeregów wojska, od krzyża i zapalonych pochodni, — prowadzona pod ręce, — szła czarna, ubrana kobieta. Szła jakimś dziwnym, niesamowitym krokiem. Głowę trzymała nieruchomo za gestą zasloną z krepy, a nogi podnosiła równo i pewnie, ale tak, jakby te nogi były z drewna czy z jakiej innej twardej masy i jakby je było trzeba poruszać za pomocą skomplikowanego mechanizmu.

Anka zawróciła z miejsca i dogoniła orszak który ją minął. Szła również, szła razem, choć trochę na uboczu, szła daleko, szła długo... Nastąpiła w niej nagle przemiana. Czuła, że musi tak iść, ze wzrokiem, utkwionym w trumnę, że musi patrzeć na trumnę, ciągle musi patrzeć na trumnę. Czuła, że dzieje się z nią coś niepojętego, że to, co było dotychczas tamą żelazną na rwącym potoku, łamie się nagle, rozpryska pod naporem ogromnej fali, ciągle przybiegającej, zalewającej wszystko.

— To jest Jerzego pogrzeb! — huczało jej w głowie.

Ta myśl, nagle i jasna, jak piorun, rozdarła ciemności, zalegające duszę, i była jednocześnie sygnałem, bo zaraz, niby rzesista ulewa, zerwało się tysiące innych, podobnych:

— Tam jest Jerzy. Tak, tam, w tej trumnie, pod całunem z kwiatów jest Jerzy. To jego konia prowadzi. Siodło jest puste, puste, puste... A to jest matka. Jerzego matka. Idzie tak sztywno, bo cierpi. Och, jak się cierpi, idąc za taką trumną, patrząc na takiego samotnego konia z pochylonym łbem... Och, jakie to straszne cierpienie wiedzieć, kto jest w trumnie... kto jest w tej trumnie...

Ona, Anka, — idzie oto za pogrzebem Jerzego i płacze. Dwa szerokie, bujne strumienie łez spływają po twarzy. Nareszcie! Och, jaką ulgę przynosi płacz, jaką ogromną ulgę! Tak, trzeba płakać, trzeba się wypłakać, trzeba wyłkać to wszystko, co kamieniem przygniotało serce!

Anka idzie i płacze — i szepcze jakieś słowa urywane, słowa bezsensowne, ale takie, które trzeba powtarzać po stokroć, bo dławia w gardle, bo szumią w głowie, bo pieką na wargach...

* * *

Dzień jeszcze jakoś przechodził, ale wieczór i noc, to była jedna wielka, przewlekła męczarnia, coś potwornego, coś nie do zniesienia.

Dzień miał ludzi — i gwar — i tysiące spraw, które trzeba było załatwić, które, bądź co bądź, rozpraszały myśl, pochłaniały, choćby

na chwilę, uwagę. Ale noc przychodziła z tą swoją okropną ciszą, która zawsze wkońcu rozbrzmiewała symfonią wspomnień.

Były różnorodne, lecz obracały się wkoło jednego tematu. Anka czyniła heroiczne wysiłki, aby te wspomnienia przytłumić, choćby na krótko. Mówiła sobie:

— Teraz nie będę myślała o tem wszystkim. Nie chcę. Nie chcę! — Szła coś lub przeglądała książkę. I nagle, w najciekawszym momencie powieści, wśród najpiękniejszej strofy wiersza zjawiało się to, wzerało w stronie książki:

— To był Jerzego pogrzeb.

Litery poczynaly płać się i skakać, lub igła się łamała wpół — i Anka, przymknawszy oczy, wsłuchiwała się w przebieg myśli, goniących jedna za drugą, walczących ze sobą, jak na turniej.

— Nie, to nie był pogrzeb Jerzego. Już wiem, że nie. Ach, dosyć, dosyć! Wiem wszystko. Jerzy jest pochowany tam, gdzie zginął. Daleko, — w polu. A to była obca kobieta, obcy koń, obce kwiaty i — obca trumna... Wiem, wiem. Jerzego włożono do ziemi i przykryto poprostu szarym piaskiem... Albo żółtym piaskiem... albo brunatnym piaskiem... To już wszystko jedno... A teraz nadchodzi zima i na pole pada deszcz ze śniegiem. Roz-

apia się, rozmacza ziemię, wsiąka w szary piasek, albo w złotawy piasek...

Anka zrywała się z miejsca i poczynala podzić po pokoju. Czula, że trzeba zaprzestać, poprostu zaprzestać myśleć, bo każda myśl wytrze kółuje nad głową, dotyka wszystkich tematów, niby obojętnie, — aż nagle błysnie potwornym, szatańskim uśmiechem.

Jak dawniej nie wierzyła Anka w śmierć Jerzego, tak obecnie starała się wmówić w siebie, że on żyje. Ale nie mogła już temu uwierzyć. Jęczała z bólu, lecz powtarzała uparcie:

— Niema go, niema! Nigdy go już nie będzie! Nigdy nie przyjdzie tu! Nigdy, nigdy, nigdy...

Kładła się na łóżku i zatulała uszy poduszkami. Ale i tu goniły za nią wspomnienia, choć się bronila przeciw nim, jak ranne zwierzę. Kiedyś — leżała chora, gdy przyszedł Jerzy. Schowała się cała pod kołdrę, wstając:

— Wyjdź! Wyjdź zaraz!

A Jerzy, który wszedł, śmiejąc się, — spoważniał nagle i rzekł smutno:

— Anko... to przecież ja.

Tak, to był on. Jej narzeczony, jej przyszły mąż, jej wszystko ukochane. Teraz nie przyjdzie nigdy. Nie spojrzy rozjarzonymi, jak węgle, oczyma, ani smutno, ani łobuzersko, ani jakoś inaczej. Bo już wcale, nigdy nie spojrzy.

Ileokroć myśli Anki dobiegły do tego punktu, zdawało się jej, że tu już koniec, — że zaraz przejdzie śmierć i ją samą zabierze, bo kto zrozumiał słowo „nigdy“ — ten niechaj na nic okropniejszego nie czeka.

Ale śmierć nie przychodziła, — natomiast szły dalej wspomnienia. Coraz to inne, coraz to nowe, a zawsze z tego, co było. Anka składała ręce i modliła się żarliwie:

— Boże! Tylko to jedno: żebym go raz, jeden raz mogła jeszcze zobaczyć! Już niechaj potem będzie znowu to, co teraz... Ale jeden, jedyny raz!... Ja nie mogę uwierzyć, że tamte słowa, tamte uśmiechy... z okna wagonu... z kolei... były ostatnie. Ja nie wiedziałam wtedy, nie wiedziałam! Boże, Boże! Niech się stanie cud... Ty zrób cud! Przecież Ty możesz...

Czuła całą bezsilność swej prośby i zaciśkała zęby, aby nie krzyczeć.

* * *

A przychodziły jeszcze gorsze momenty: te, w których Anka zdawała sobie sprawę, że po Jerzym nie pozostało nic, coby świadczyło, że istniał naprawdę. Równie dobrze mógł być, jak nie być. Cały żył tylko w jej myślach, ale go nie było naokół... Nie było go w jej dniu powszednim, w przyzwyczaj-

jeniach, w sprawach malej wagi, ale żywotnych, domagających się jej udziału.

Cóż z tego, że co chwila, patrząc na jakiś sprzęt, myślała: Tu siedział Jerzy. Albo: To Jerzy trzymał w ręku... Przedmioty nie zachowały rysunku i ciepła jego rąk. Małe lustro, w które spoglądał przez ramię Anki, gdy nakładała kapelusz, lub poprawiała włosy, nie zatrzymało jego odbicia... Znikł zewsząd, — nie było go. To, co go Ance przypominało, to były tylko martwe, bezduszne przedmioty, albo marzenia o dniach minionych. Był Przyszłością i tylko Przyszłością. Umarł cały, — nie pozostało żywego nic.

Jedna zwłaszcza myśl uczepiła się jej mózgu i nie dawała chwili wytchnienia: że przecież mogła mieć dziecko. Jego dziecko.

Przypominała sobie te wszystkie momenty, gdy Jerzy był blisko niej, gdy opierał twarz na jej ramieniu, gdy obejmował ją wpół, tu, w jej samotnym, cichym pokoju.

Myślała, że to się mogło stać wtedy. Mogła mu się oddać. Czytała tęsknotę w jego oczach, wyczuwała ją z dotknięcia gorących jego rąk... Ale wówczas jednym gestem nakazywała mu odejść, albo jednym spojrzeniem tamowała potok słów miłosnych, cisnących mu się na usta. Była dumna. Miała w sobie godność

kobiecą, — a on tę godność w niej szanował. Kochał w Ance przyszłą swą żonę.

— Jerzy, — szeptała w noce bezsenne, teraz, po jego śmierci, — czy ty wiesz, jak ja cię kochałam? Jak ja cię kocham?... Pragnęłam cię... byłeś mi wszystkim. W tobie zamknęłam całe me życie. Teraźniejszość i Przyszłość. Jerzy, Jerzy!...

* * *

List nosił datę bardzo dawną. Przyniosła go stróżka z domu, gdzie mieszkał Jerzy. Odszukała Ankę cudem prawie, bo nikt nie znał jej adresu.

Anka obojętnie przyjęła list. Cóż ją mogło obchodzić, kto do niej pisał. Jedyne list, jakiego by pragnęła, nie przyjdzie nigdy.

Kobieta, otrzymawszy suty napiwek, wyszła w ukłonach, mówiąc jeszcze od progu:

— Obiecałam święcie starszej pani, że pannenkę znajdę, — i znalazłam.

Anka otworzyła kopertę. Matka Jerzego tak pisała misternie drobnymi literkami:

Szanowna Pani!

Piszę do Niej, choć się nie znamy. Ale Jerzy kochał panią i wiem, że byliście zaręczeni. Jerzy mi to sam napisał, w ostatnim liście, jaki otrzymałam od niego. Jerzy

bardzo, bardzo Panią kochał i choćby dlatego ja kocham również z całego serca, chociaż Cię nie znam, droga Panno Anko! Wybacz, że tak poprostu piszę, ale nie umiem i nie mogę inaczej. I przecież, od czasu, jak Jerzy nie żyje, Ty jesteś dla mnie wszystkim, co mam tu na ziemi. Dlatego, Dziecino moja, proszę Cię bardzo, przyjdź do mnie. Będę w Warszawie jeszcze przez kilka dni. A jeśli nie możesz teraz przyjść, to przyjedź na wieś. Jerzy obiecywał w liście, że Cię przywiezie. „Przywiozę Ci, Matuchno, wkrótce śliczną, słodką synową!“ to są Jego własne słowa. Moja Aniu... Ty teraz musisz sama przyjechać. Tak przecież było postanowione, a tylko dlatego, że Jerzy...

Anka nigdy w życiu nie doczytała tego listu do końca. Z początku — nie miała wprost fizycznie siły, potem się list gdzieś zawieruszył, a potem — nie było to już potrzebne.

Dopiero na wiosnę pojechała tam. Wcześniej nie miała odwagi, ale gdy przeszły ostatnie lute wichury, kiedy odtajał śnieg na ramach okiennych, Anka poczuła, że i w niej jednak nie wszystko zamarło.

Pod zapiekłą, chropawą powierzchnią bólu, rozpacz, tliła się jakaś mała iskierka przywiązania do tego, co życie niesło. Gdy ujrzała

pierwsze paki na kasztanach, serce jej zadrgało słodkiem przypomnieniem, że Jerzy tak bardzo kochał wiosnę. Wówczas postanowienie wyjazdu ostatecznie zapadło. Przecież na wiosnę mieli tam pojechać razem — i już na całe życie.

Tak pragnął Jerzy.

Anka wysiadła na malej stacyjce i poszła wąziuchną ścieżką wskroś pól, pokrytych runią. Na horyzoncie majaczył las. Tam, w głębi, za nim, jest dom Jerzego. Biały, zgarbiony dworek tuli się do lip rozłożystych. Za domem leży przeszliczny, stary sad, a dołem płynie rzeczka przez łąkę, pełną kaczeńców...

Anka szła, wyciągając ramiona ku słońcu. Kiedy jej drogę zastąpił zagajnik, niemal z uśmiechem radości odnalazła ścieżkę, wiodącą przez las do malej furtki w ogrodzie. Znała nieledwie każde drzewo w parku, chociaż nie była tam nigdy jeszcze... Ale Jerzy opowiadał jej wszystko, do najdrobniejszych szczegółów.

— W tym lesie jest najgrubsza w okolicy sosna, — mówił Jerzy, — nazywa się Prababka. Gdy tam pojedziesz, zobaczysz sama, jakie to cudne drzewo. Obejmiemy je ramionami... i będzie nas dwojga jeszcze zamało!...

— Aha... to sosna była w gąszczu, na lewo... — myślała Anka. — A teraz wchodzę już do parku...

Cienista aleja ciągnęła się z pół wiorsty. Pomiedzy grubemi pniami, z pod przegniłych, zeszlorocznych liści, gdzieniegdzie wychylał głowinę pierwszy fiolek.

— To tu, w tej alei są domki dla szpaków, — szepnęła Anka, podnosząc głowę, ale domków nie mogła dostrzec.

— Może je w zimie pozrzucił wiatr? — myślała z niepokojem.

Jerzy naśladował, jak szpaki śpiewają. Uczył je gwizdać co roku, latem, podczas wakacji. Bestje zapominały zawsze przez zimę i trzeba je było uczyć od nowa...

Z za drzew wychyliły się białe ściany domu. Czyściutko wygracowana ścieżka wiodła przed mały ganeczek. Wzdłuż ścieżki widniały już ze spulchnionej ziemi świeże liście narcyzów.

— Te wszystkie narcyzy, Anko, są twoje. Darujemy ci je! — obiecywał jej Jerzy. I Anka uczuła, jak tu wszystko wokół pełne jest jego pracy; jego myśli, jego upragnień... Powietrze zdawało się rozbrzmiewać jego imieniem. Tu Jerzy nie umarł... Tu go wreszcie zdołała odnaleźć...

— Moje, moje kwiaty! — schyliła się ku nikłym listeczkom. Opanowała ogarniające ją rozrzuwienie i poszła prosto przed ganek.

W niskim fotelu siedziała tam kobieta o słodkiej, jakby przeźroczystej twarzy, którą

z dwóch stron okalały gładkimi pasmami
prawie zupełnie białe włosy.

Anka podeszła, ukłękła w milczeniu i po-
łożyła głowę na tych drogich, matczynych
kolanach.

Obie płakały.

Warszawa, listopad 1920.

PLAMA

PLAMA.

Jest plama na tapecie, nisko przy ziemi. Nieduża, sinawo-ruda plama w miejscu, gdzie ongi stał klęcznik prababki.

Klęcznika tego niema już dawno. Wynieśli go, jak wiele innych cennych gracyków antycznych, których wartością były jedynie przywiązane do nich wspomnienia. Zapewne porąbała ten klęcznik pijana tłuszcza żołdacka na opał, albo tak sobie, bez żadnego zgoła celu. Ogromnie dziwnie musiały wówczas wyglądać ogolone z mebli pokoje, ściany, poznaczone ciemnymi łatami kwadratów, gdzie wisiały te wszystkie obrazy, które pamiętam od dziecka, które od dziecka pamiętała matka moja i dziadek — i jeszcze jego ojciec zapewne.

Rzecz dziwna: mniej mi sprawia niepokoju myśl o tych wszystkich rozsianych po świecie pamiątkach rodzinnych, niż owa plama nie znacząca, ale nieznaną, nowa, obca. Nie widziałem jej, nie pamiętałem dawniej. Znalazła się tu znienacka, — zakwitła jakimś

swojem własnem życiem na ścianie wiekowego dworu. Ot, nic więcej: — trochę oddartej tapety, a wkoło zwykła, pospolita plama, która widocznie odmyć się nie dała. Intruz. Jakiś dowód błahy ale niezbity, że nie ustawało tu życie podczas nieobecności mojej.

Intruz natrętny, jak tyle innych wojennych pamiątek.

To wszystko są dzieciństwa, — wiem. Ale czy mi nie wolno kaprysić, jak dziecku... — i to choremu dziecku? Tak, jestem chore, bardzo chore dziecko, jestem uboższy, niż wszystkie na świecie chore dzieci tem, że nie przeistoczę się już w zdrowego, pełnego sił człowieka nigdy, nigdy...

Te stopy, których niema, czuję wyraźnie pod ciepłym szalem. Tak, tak, — wsłuchuję się godzinami w tętno krwi, pulsującej u końca palców nieistniejących.

Jestem jak małe, ciekawe dziecko, chcące uchylić rąbka tajemniczej zasłony, za którą kryje się cudowna, radosna niespodzianka...

A przecież wiem...

O, wiem aż nadto dobrze. Czuję to swoje kalectwo wszystkiemi komórkami mózgu. On jeden pracuje sprężysto, jak dawniej.

Ogromnie dobra jest jednak Natalka. Przysunęła mój fotel do okna w ten sposób, że mogę widzieć i dziedziniec i rąbek sadu. Mogę

śledzić ruch ludzki przed domem, a jeśli zechce, wybiegać wzrokiem w dalekie przestrzenie, gdzie właśnie bronują. Dzisiaj bronują, a jutro będą dosadzać kartofle, których górę kopiastą przebierają teraz dziewczęta, śpiewając wesoło.

Tak, bardzo dobra jest moja narzeczona. Bardzo, bardzo dobra. Ma przytem dla mnie ten słodki, litosny uśmiech, jaki się miewa dla ubogich, dla nędzarzy, którzy niczem owej dobroci ludzkiej odplacić nie mogą. Powinna mię ta dobroć, okazywana przez złą dziewczynę, pocieszać, — a ona mię tylko upokarza... Może to i źle?...

Tyle razy powtarzała mi Natalka...

Po podwórzu chodzą naczupurzone indyki, zabawnie opuszczając skrzydła ku ziemi, czerwone z gniewu, czy z rozsadzającej je pychy. Wszystkie są zdrowe, mają duże, purpurowe korale i silne, żylaste nogi... Głupie, zarozumiałe ptaki! Mizdrzą się do swych samiczek, które najmniejszej nie zwracają uwagi na te zaloty, całe przejęte wyszukiwaniem pożywienia.

Przechodząc mimo nich, Natalka sypnęła nieco okrucichów. Nosi je zawsze w kieszeni haftowanego fartuszka.

Jak ona zwinnie się rusza!... Nogi stawia lekko i pewnie. Ładne ma nogi Natalka, dobrze związane w kostce, choć szczuple.

Tak szybko przebiega zawsze dom, ogród, podwórze!... Drepce dzień cały bez zmęczenia i pewnie ani pomyśli o tem, że każdy krok taki, to wielkie szczęście, jakiś skarb cenny, jakaś łaska, zesłana z nieba...

Smutny jestem i chory. Stanowczo chory trochę dzisiaj. W dodatku — to dziwne, nieznosne uczucie bólu w tem, co przestało istnieć, czego oddawna niema i już nigdy nie będzie...

Razi mię blask zachodzącego słońca. Obracam oczy ku wnętrzu mieszkania, które zaczyna tonąć w cieniu.

Ale plama odcina się i teraz na jednostajnej szarzyźnie tapety.

* * *

Przyszła Natalka i przyniosła pęk ogromnych, różowych piwonji.

Sama jest też różowa od biegu, różowa od sukni w drobne kwiateczki głogu, cała przesiąknięta słońcem i zapachem kwitnących w ogrodzie jaśminów.

Ułożyła kwiaty w wazoniku i postawiła na stole, tuż przy mnie. Patrzę na jej ręce o palcach wysmukłych i giętkich, dobre, ładne ręce, pokryte złotawym pyłem opalenizny. Milcząc, czekam na jej spojrzenie tak znane i na tak znane słowa:

— Jakże się czujesz dzisiaj?

Wiem, że odpowiem tem samem, co zawsze zdaniem: „Dziękuję ci, czuję się, jak zwykle.“ A spostrzegłszy przemykający w jej oczach cień, dodam: „Może nawet dziś trochę lepiej...“

Ale Natalka nie mówi tego, na co czekałem długie, samotne godziny. Oczy jej jarzą się, usta drgają, jakby w usilnie powstrzymywanym uśmiechu radości. Palce machinalnie zanurza w pachnące kule piwonji i patrząc w przestrzeń za oknem, mówi raczej do siebie, niż do mnie:

— Tak było cudnie, cudnie dziś na świecie! A teraz słońce zachodzi za las i całe niebo w tamtej stronie jeszcze się krwawi...

I zwracając ku mnie głowę, dodaje:

— Cały czas myślałam o tobie, Mieczku... Że tego nie widziałeś wraz ze mną...

— Ach, dość mam krwi...

Palce Natalki zaciskają się kurczowo na płatkach kwiatów. Powoli opuszcza głowę, — chwilę błądzi oczami po powierzchni stolika, wreszcie szepcze głosem zdławionym:

— Znowu cię uraziłam... Przepraszam, Mieczku.

Żal mi dziewczyny. To ja zrobiłem jej przykrość. Dobrej, serdecznej Natalce.

Twarz jej powlokła się smutkiem w jednej sekundzie. — blask oczu zmatowiał. Znowu,

po raz nie wiem już który zgasilem w niej radość życia.

W milczenie, zaległe między nami, rzucam teraz słowa uprzejmych przeprosin, tłumacząc sam siebie:

— Bo widzisz, trudno mi przywyknąć do tego, że świat jest nadal ten sam, że wszystko tak samo się dzieje i nawet tak samo jest piękne, jak wówczas, kiedy zdrow, silny, pełen wiary w dobrą gwiazdę, wychodziłem ze swoim szwadronem na pierwszy wywiad... To był nawet podobnie piękny i ciepły dzień... Tyś mię nigdy, niczem nie uraziła, Natalko droga. Jesteś dobra i słodka, najśłodsza pod słońcem dziewczyna... To ja ciebie przepraszam... i zarazem proszę, jak o wielką łaskę: bądź nadal wobec mnie sobą, mów to, co myślisz... zawsze, Natalko...

Uśmiechnęła się do mnie i podała mi obie ręce. Potem — zaczęła prędko, trochę bezładnie opowiadać, co zaszło nowego w gospodarstwie: że znów kurczątka jastrząb porwał, że dziś skończono przesadzać wszystkie flance, że brat mój, Kazik, tak dzielnie gospodarzy, iż pewnie wkrótce wszystko w majątku powróci do dawnego...

I nagle, bez żadnego przejścia, dorzuciła śpiesznie:

— Bo ja bym tak chciała, Mieczku, żeby nic, nigdy nie stało pomiędzy nami... Przecież się nic nie zmieniło, nic zupełnie... Przecież jesteśmy sobie równie bliscy, a powinniśmy być bliżsi nawet...

— O...

Natalka kładzie mi rękę na ustach i przerywa, nieomal z łękiem:

— No no!... Ja wiem, co chcesz powiedzieć! Ale to próżna fatyga!... Niech pan co prędzej przelknie tę długą tyradę o poświęceniu. O tem nie może być mowy już nigdy... Pamiętasz, cośmy sobie przyrzekli?

Czy ja pamiętam?...

W sali operacyjnej byłem sam jeden. Jak dobrze, że matka już przedtem umarła... Ale po opatrunku przyszła Natalka (kiedy ona dowiedziała się, jak odnalazła mię w tym strasznym, z czerwonej cegły szpitalu?) i z rękoma, oplecionemi wokół mej głowy, szeptała mi prosto w usta słowa rwane, bezładne, o miłości, o przeznaczeniu... o tem, że teraz silniej jesteśmy związani, że „t o“ jest głupstwo, niemal drobnostka, że świat pomimo „t o“ jeszcze jest piękny, a życie trzeba błogosławić, skoro dwa serca biją tym samym rytmem...

Dobre, kojące słowa, skuteczniejsze, niż wszystkie leki szpitalne! Zdawało mi się, że

uwierzyłem w ich treść... Tak, wówczas uwierzyłem...

* * *

...Leżeli pokotem wzdłuż ściany. Brudne, nieruchome kadłuby ludzkie, szare od błota i prochu, poznaczone gęsto plamami skrzepłej, zrudziałej krwi.

Siostry przemykały się cicho wąskiem przejściem, ujętem w szpaler nóg, nieruchomych, jak kłody. Okna wszystkie były wybite, to też w przeciągu trzaskały nieustannie któreś drzwi, pozbawione zamków.

Klon rozłożył się, podcięty przez granat, zwałił się prosto na dom. Jedna z gałęzi, pokryta rdzawymi liśćmi (podobne były do rozczapierzonych dłoni ludzkich), wdarła się przez okno bez szyby i, pochylona tragicznie, chwiała się nad jakimś trupem czy pół-trupem o twarzy, zastygłej w cierpieniu.

Zdaleka dochodził jeszcze huk armat, ale tak zrzadka, że w międzyczasie słyhać było brzęczenie much, siadających na ranach otwartych, pełzających rojami całymi po ścianach, obryzanych krwią.

Siostr było tylko dwie, a i one krążyły sennie po obumarłym domu, pełnym jedynie jęku rannych i chrapania konających.

Czterej żołnierze w brudnych, ochlapanych

błotem szynelach wynosili kolejno tych, którym pomoc lekarska była już zbyt późna. Miejsca wolne zapełniano natychmiast nowymi rannymi, zdjętymi z furgonów.

Salonik, ogółocony dawno z mebli, przemieniony został w salę operacyjną. Tam młody doktor, przy pomocy sanitariusza i wątpliwych narzędzi chirurgicznych, dokonywał operacji, których konieczność natychmiastową stwierdził przed paru godzinami. Zapach jodoformu, pomieszany z mdłą wonią krwi, przenikał całe wnętrze domu, zabiegał nawet aż do odległej kuchni, gdzie kilka trafem pozostałych kobiet ze służby dworskiej, w panicznym strachu, — żegnając się co chwila na odgłos armatniego strzału, — warzyło strawę dla żołnierzy.

Właśnie przyniesiono doktorowi nowego rannego i złożono go na stole. Żołnierz miał nogi skrwawione, sine, opuchłe do kolan.

— No, tu gangrena prawie pewna! — rzekł doktor po rosyjsku do sanitariusza i zaczął przerzucać narzędzia, sterczące z nikłego kociołka na maszynie spirytusowej.

Chory patrzył osłupiałym wzrokiem na te przygotowania. Jęk chrapliwy dobywał się z jego ust, uwalanych błotem. Na widok lśniącego pilnika w ręku doktora zatrząsł się cały, jakimś potwornym wysiłkiem zerwał

się, usiadł na stole i złożywszy ręce, wołał z jękiem:

— Niet, niet, wasze przewoschoditielstwo! Niet, niet... Nie nado!

— Durak... — sarknął sanitarjusz i powalił go znów na deski, a doktor, wzruszywszy ramionami, dodał:

— Trzeba nogi obciąć... Rady niema, brat miłyj!

I nie zważając na ryk zwierzęcy, na beładnie splecione słowa, prośby i zaklęcia, — szybko i zręcznie wykonał operację.

Po opatrunku zaniesiono chorego do przyległego pokoju i złożono na ziemi, z głową przy ścianie, wprost okna.

Długi czas leżał w milczeniu odrętwiałem, zbieleły, jak kreda, tak, że kilkakrotnie siostra schylała się nad nim; za każdym razem, powstając, mówiła:

— Żyje...

O zmierzchu chory otworzył oczy. Szepetem poprosił pić, a gdy przyniosła mu siostra wodę w blaszanym kubku, pił chciwie, nie odrywając ust. Gdy skończył, chciała odejść, ale ją chwycił za rękę i przytrzymał.

— Siostrica... — szepnął.

Zatrzymał się, a po chwili z wahaniem zapytał:

— Nogi są u mnie, siostrica?

Tyle było na jego ustach, w cichym szepcie i w oczach wylękłych niespokojnego błagania o potwierdzenie, że siostra, zdjeta litością, skinęła głową.

Żołnierz westchnął, jakgdyby z niezmierną ulgą, poczem szepnął:

— Nogi tak bolą...

Chciała znów odejść, ale wpił się w jej dłoń palcami i patrząc błyszczącymi oczyma, zaczął mówić gorączkowo:

— Bo widzicie, siostrica... U mnie w domu żona młoda, Natasza... Ona wesola taka, krasiwia... Tańcować lubi... My z Wiackiej gubernji, niedawno pobrali się... Jesliby ja nogi utracił, to co ja dla niej znaczyć będę, siostrica, co?... Ona wesola, żywa... A tam we wsi Wania jest, mój brat. Ona, Natasza, dobra żona, ale młodziutka taka, krasawica...

I mówił coś jeszcze, bez ładu, wkońko powtarzając imię swej żony i to, że ona ładna taka i tańczy, jak żadna inna... Wania też tańczy pięknie — i Natasza możeby za Wanę poszła, tylko że jego, Miszę, przedtem załubiła... — Tak, tak... — zgadzała się na wszystko siostra. Wysunęła delikatnie rękę z uścisku jego palców i wstała:

— Leż tu spokojnie, Misza. Nie ruszaj się. Ja znowu niedługo przyjdę...

W nocy Misza obudził się nagle. Dźwignął

się z wysiłkiem na rękach i oczami rozszerzonymi patrzył w ciemność. Cisza była, przerywana tylko chrapaniem i jękami rannych towarzyszy. Za oknem wiatr także jęczał żałośnie i suche liście osypywały się z chrzęstem.

— Nogi moje, nogi... — szepnął Misza i opadłszy znów na posłanie, cicho wył z bólu.

Tam, pod wytartą derką, działo się coś strasznego. Ból potworny wzmagał się z każdą chwilą, dochodził do takiego napięcia, iż wydało się Miszy niepodobieństwem przetrzymać go.

— Nogi moje, nogi, siostrica! — wył głucho gryząc worek ze słomą, podłożony pod głowę. Ale siostra nie nadchodziła. Spała może lub doglądała chorych w innej stronie domu.

— Boże mój, Boże mój... Nie wydierz... Natasza! Hospody pomyśl, nie wydierz!...

Zerwał się i odrzucił koldrę. Na słomie leżały dwa kikuty, okręcone w bandaż, prześnięte krwią.

Przez chwilę patrzył Misza z osłupieniem na te dwa klocki nieruchome, — wreszcie świadomość nagle i ostra przecięła mózg, jak nożem. Rzucił się całym ciałem wprzód — i nie zważając na piekielne męki bólu, rwał począł krwawe płótno, zdzierać z nóg te szmaty ohydne, kryjące straszną rzeczywistość. Domacawszy się strzępków skóry nad kolanami,

domacawszy się poniżej tylko próżni, — skurczył się w sobie, zwinął, — potem rozprężył, rzucił na posłanie i głową jał tłuc o ścianę w jakiejś rozpacz bezsilnej, strasznej, niewyczerpanej...

Rękoma, umazanymi krwią, darł sobie włosy z głowy, a potem paznokciami darł ścianę, wyjąc i charcząc.

Pobudzili się ranni, powstał krzyk, tumult, krętanina.

Nadbiegły obie siostry wylekłe, a widząc, co się dzieje, usiłowały chwycić ręce Miszy, uspokoić go, unieruchomić. Ale on wymachiwał rękami w powietrzu, nie dając nikomu do siebie przystępu, a z ust jego, wśród niezrozumiałych krzyków, wyrzywały się raz po raz słowa, pełne bólesci niewypowiedzianej:

— Ubij!... Nogi moje... Ooo... nogi... Natasza... o, Natasza, Natasza... Ooo...

.

* * *

...Słońce zaszło czerwono, mówiła Natałka. „Na wiatr“, brzmi przepowiednia. Rzeczywiście, całą noc hulał wiatr dziwny jakiś, ponury, niemal jesienny...

Teraz niebo wypogodziło się, — ani jednej chmurki, — a drzewa stoją nieruchome.

Nie mogę jednak wyzbyć się uczucia smutku

i — zgrozy. Przytem — te ciężkie, jak olów, jak roztopiony olów palące widzenia senne... Siedzę znowu w fotelu, przy oknie, ale czuję się dziwnie rozbity. Chętnie przeleżałbym dzień cały w łóżku, gdyby nie to, że stamtąd oczy moje padają wprost na tę zrudziałą, wstrętną plamę na tapecie. Patrzyłem na nią dziś, po obudzeniu, długie godziny, gdyż obudziłem się wcześniej: zaledwie szarzało.

To dziwne, że ja tę plamę widzę zawsze, na wet w nocy. I już się zżyłem z tym widokiem. Taka ona biedna, bezcelowa, trochę, jak moje życie obecne.

Natalka znowu by mię wylażała za gorzkie myśli... Natalka...

Po śniadaniu wypytywałem tę starą pokojówkę matki, Malwinę, która tu przebyła całą wojnę, o przebieg bitew. Umiem już, coprawda, wszystko na pamięć. Ale to korci mię zawsze. Nieraz myślę, że gdybym wówczas w domu pozostał, nie wyrzuciłoby pijane żołdactwo mebli na dziedziniec, a obrazów w ogień.

— Niech mi Malwina powie, jak to było, wszystko, po kolei... Od tego dnia, gdy się we dworze zakwaterowali.

Opowiadała, może z godzinę, cienkim, jęklwym głosem, pochlipując czasem nad jakimś ważniejszym zdarzeniem.

— A... — rzekłem, — to tu założyli lazaret?

— No tak, panicz wie przecie dobrze, toż mówiłam ze sto razy.

— I wszędzie byli ranni? Tu także?

— Gdzie ich nie by'ło! Dziedziniec pelen, wszystkie pokoje... Nas do lamusa wygnali... A na to wszystko tylko dwie siostrzice takie, z czerwonego krzyża niby...

— Więc tu leżeli? Leżeli... jak?

— A ot, od drzwi do drzwi, po obu stronach, rzędem. Strasznie byli pokrwawieni... Posadzkę całkiem zapekali. A jęczeli... O Jezu! Okaśmy z Józją zmrużyć nie mogły bez ten tydzień, co tu przebyli. Licho ich potem poniosło dalej. A co trupów zostało!... Niepogrzebanych!... Rety!...

— A byli i ciężko ranni?

— O, byli. Jednemu nogi obcięli.

— Kto?

— Doktor. Taki młody doktor z pomocnikiem. Biedny był żołnierz, żal mi go, choć to ruski... Darł się tak, że w kuchni ściany drżały, choć to i daleko... W nocy to całkiem znieprzytomniał, bandaże zdarł, ino precz żony wołał.

— Nataszy...

Popatrzyła na mnie, zdziwiona i ciągnęła po chwili dalej:

— Rankiem dopiero umarł. Gangrena była...

Doktór mówił: „To i lepiej, bo cóżby robił taki człek, a jeszcze m u ż y k !“

Spojrzała ukradkiem na mnie i zamilkła nagle.

— To on miał obie nogi ucięte... Jak ja?

Malwina machnęła ręką:

— Ee, gdzieś! Gorzej. Panicz, to aby same stopy, choć i to nieszczęście... Ale tamtemu nogi do kolan obcieli, że se leżał, jak ten kloc... Już niech te wojne choroba! Taką moc ludzi wytracili, takie zniszczenie, nieprzymierzając, choćby i tutaj!...

Rozglądać się poczęła po pokoju, jakby go pierwszy raz widziała. Rzeczywiście, zastawiono go byle czem. Pód oknem stolik sosnowy, w kącie szafka oszklona matki, cudem zachowana, łóżko, parę krzeseł, — ot, wszystko.

— Jeszcze to panienka Natalka na pana przyjazd tak narychtowała. A wpierw nie było nic. Gole ściany. I, powiadam panu, smród w domu taki, że nas mgliło... To jeszcze bez ten szpital i trupy, że niby w pośpiechu grzebali za płytko.

— To tu, spytałem, — gdzie ta ruda plama na ścianie, leżał chory żołnierz?

— Jaki żołnierz? A, ten bez nogów!... Może tu, a może i nie tu. Czy ja to mogę pamiętać?

„A ten mur zdrapany pamięta...“ myślę bezustanku, wkółko, od rana.

Malwina odeszła, sprzątnąwszy pokój. Odprawilem ją. Wolę ostatecznie zupełną ciszę, niż jej piskliwy głos.

Natalka wróciła z kościoła (bo ona codzień chodzi teraz do kościoła na intencję, żebym prędzej ozdrowiał) i rozmawia z Kaziem przed gankiem. Jacy oni piękni oboje, jacy zgrabni... Natalka pewno ładnie tańczy, choć już dobrze nie pamiętam...

Gdybym tak teraz wychylił się przez okno i krzyknął na nich: „Zatańczcie!“?...

Ech, głupstwa, wszystko głupstwa, w dodatku niesmaczne. Rojenia chorego mózgu...

Ale ta plama na ścianie ma dużo wyrazu... Rzecz dziwna, — widzę, żem do niej przywykł przez dobę ostatnią. Jak to się jednak człowiek łatwo zżywa ze wszystkim... Z każdą...

Z każdą.

Natalka wciąż rozmawia z Kaziem. I to zauważyłem, że lubię patrzeć na nich oboje ze swego pokoju, przez okno. To trochę tak jakby z innego świata. Tu jest mój własny, malutki świat, — a tam ich, zdrowych, silnych, normalnych ludzi świat rozległy...

Jaka ta Natalka wrażliwa! Obejrzała się raz i drugi, — a teraz już patrzy na mnie, tylko na mnie, z tym „swoim“ uśmiechem.

Muszę jednakże stanowczo się z nią rozmówić.

Wchodzi, — taka hoża, jasna, promieniąca i rzuca mi powitanie, jak kwiaty.

Cóż ja jej powiem? Co ja jej powiem na „dzień dobry“, kiedy to dla mnie taki fatalnie zły dzień dzisiaj?

— Mieczku! Oo ... jaka mina smutna! To źle!... Błady jesteś trochę... Co? Boli co? A może te... rany, co, Mieczku, powiedz? No, powiedz...

Już jest przy mnie, z całym balsamem niepokoju w oczach. Już jest przy mnie, już trzyma mnie za rękę i patrzy badawczo, wiernie, ufnie...

Muszę, mimowoli, muszę uśmiechnąć się do niej.

— O, tak, to dobrze! Bo widzisz, siedzisz tu sam w tym szarym, pustym pokoju i dlatego musi ci być smutno, Mieczku... Właśnie mówiliśmy z Kaziem, żeby cię przenieść na ganek. Co, nie chcesz?

Potrząsam kilkakrotnie głową i gładzę machinalnie jej dobrą, ciepłą rękę, wspartą na poręczu.

— Nie chcesz? Dlaczego, Mieczku? Tam słońce takie, cud! A z Kaziem przeniesiemy cię ostrożnie... On taki silny!

— Dziękuję ci, Natalko. Dziękuję. Nie...

Ja tu zostanę. Jestem dziś niezdrow. Tak, trochę niezdrow. Idź na słońce sama, z Kaziem. Ja tu zostanę... Pozwól, niechaj tu sobie mieszkam, trwam, wliczony w sprzęty tego pokoju, taki sobie nieruchomy, ot, jak ta plama...

Natalka wzrokiem śledzi ruch mej ręki i patrzy przez chwilę, nie rozumiejąc. Wreszcie mówi z tłumionym wzruszeniem:

— Jak chcesz, Mieczku... Ale widzisz, ja dla ciebie, dla twego dobra... Bo mi cię tak bardzo szkoda...

— A tego muru ci nie szkoda, że się osypał, Natalko?...

— Mieczku?! —

Chwilę patrzy na mnie badawczo. Wreszcie wybucha dźwięcznym, może trochę za dźwięcznym śmiechem.

— Ee, widzę, mój pan dziś nie w humorze... Ale to nic! Wróci zdrowie, wróci i humor... Tacy jeszcze będziemy szczęśliwi, Mieczku! Co ty mi tu o jakiejś plamie wygadujesz? Plama jest, prawda, ale się ją zamaluje, zaklei... Ot, wiesz, powiem ci coś: ja już nieraz myślałam sobie, że jak się pobierzemy, to ten pokój trzeba będzie wykleić błękitnym papierem i umeblować miłutko... Taki mały buduar, wiesz... Okno się wstawi większe i będziemy tu sobie czytawali. Co ty na to? Jakiś ty smut-

ny, Mieczku, dzisiaj... Tak mi cię żal, mój biedaku kochany... Ale to minie! A jak wyzdrowiejesz... co, kiedyż pomówimy na serjo o ślubie? Pamiętasz, twoja matka pragnęła już wkrótce...

Te jej oczy, te jej śliczne oczy dziecinne, ufne w moc własną, w potęgę miłości wszystko-lamiącej...

Co ja jej powiem? Jak ja t o jej powiem?

Walczę z upartą chęcią opasania ramionami smukłej, opalonej szyi, noszącej tak wdzięcznie i śmiało najśłodsza w świecie głowę... Przelamuję tę chęć (który to już raz?) i mówię głosem dość bezbarwnym:

— Idź już, Natalko, na słońce. Proszę cię. A... co do projektów wszelkich... to potem, potem. Tyle jest czasu na omówienie ich!... Tyle czasu... Cała zima...

Natalka odrywa ręce od poręczy i patrzy na mnie, jakby z żalem:

— Jak chcesz...

Poczem wychodzi z pokoju.

Patrzę za nią, jak się oddala, jak mija ganek, dziedziniec... Jak sobie idzie gdzieś w przestrzeń, na ciche, ogrzane słońcem pola...

Patrzę tak za nią i czuję na ustach jeszcze jedno zdanie, którego dopowiedzieć nie miałem siły:

— A tego pokoju, Natalko, nie wykleimy papierem błękitnym...

GOBELIN

GOBELIN.

Mówisz: — to wszystko są rzeczy blahe, ów zegar, milczący oddawna, te stare portrety wyblakłe prababek o ramionach spadzistych i włosach, spiętrzonych misternie... Szpinet, na którym nic wygrać nie mogą ręce, przywykłe do szumnych akordów, wydartych z brawurą klawiszom o pięknym, nowym połysku...

Prawda. Prababki moje pomarły już dawno, a może nigdy nie były tak piękne, o rękach białych i matowych, o gładkich, zadumanych czołach, z pod których oczy patrzą daleko i dziwnie, niby na przedmioty, dla nich jedynie widoczne. Może nawet ta, o słodkim uśmiechu Madonny, z różą przy piersi, z perłową we włosach przepaską, nie była wcale ani tak piękna, ani tak dobra, jak tutaj z poczerniałych ram ku nam wygląda.

Mówisz: Patrz! Oto, co pozostało po prajcjach twoich!... I pokazujesz mi z okna pola jałowe, las przerzedzony straszliwie, w ziemię zapadłe budynki...

I mówisz: Kocham two ręce, spalone od słońca, i włosy twoje, na wietrze stargane. Kocham two ciało gibkie i młode, że się kołysze rytmicznie, gdy idziesz, nie skępowane wymyślnem odzieniem; — ciało zdrowe i płodne, jak ziemia, po której stapasz...

I mówisz jeszcze: Pójdźmy stąd. Pójdźmy do lasu. Tam zamieszkamy w szałasie, splecionym z młodych gałęzi leszczyny. Wiekowy dąb będzie szumiał nad nami; — on równie jest stary, jak twoje pamiątki antyczne, a życie w nim pulsuje krwią młodych, wiosennych soków.

Tam, wtulonej w ramiona moje, będę ci mówił o czynach, które stworzymy wspólnie. Pokażę ci rozległe pola, które wykarczujemy, i horyzont daleki, kędy srebrzyć się będzie łan żyta, naszymi rękoma zasiany!

Przetnijmy wężle nici, wiążące cię z przeszłością! Ten dom w proch się niebawem rozsypie, jak rozsypały się kości pradziadów twoich na cmentarzu, którego już niema. Jesteśmy ludzie żywi, — jesteśmy ludzie nowi, — do nas należy Przyszłość, w nas jest moc twórcza, siła niespożyta!

Stałeś na progu i przysysz ramiona ku słońcu.

Tak, wiem. Jesteś człowiek silny. Jesteś człowiek nowy, zaborczy, dufny w moc własną.

Jesteś, jak pożar w dzień wietrzny: łakniesz oganowania wszystkiego, co spotkasz na drodze swojej. Przeszłość zostawiasz za sobą, jak zgaszcza.

I wiem, że spaliłbyś mnie, jak pożar, pocałunkami swemi — i w duszy mej pozostałyby zgliszcza tęsknoty za Tobą, idącym naprzód.

Słodkie są trudy owocne i słodkie jest zwycięstwo, odniesione nad wszelkim żywiołem, wiem o tem.

Lecz spojrzysz: Mam na piersi medaljon starego złota, a w nim plecionki z włosów, wite misternie.

Idź więc sam na wyprawy zdobywcze, — ja tu zostanę. A gdy odejdiesz, w mroku wieczornym zasiadę przy milczącym szpinecie i będę patrzeć na zegar milczący, który ongi wydzwonił wszystkie godziny radości i wszystkie ciężkiej niedoli godziny...

A gdy przesiedzę w zadumie do świtu, — pójdę o wschodzie obejrzeć dom cały wokół. Rozbieram osypujące się tynki, wybiele ściany pochylone i wygracuję zarosłe ścieżki.

Później zaś, w rozslonecznione południe, przyniosę stare krosienka pod okno i wyjmę gozelin z dna skrzyni, gdzie przeleżał lat krocie...

A gdy się wpatrzę w subtelny rysunek barwach spłowiałych, oczy moje będą miały

ten sam wyraz daleki, co oczy prababek z portretów.

Ponieważ nie mam nitek ze złota, wyciągnę z warkocza włos długi i nim wyszywać będę, do zmroku, ten stary, podarty gobelin.

Może w podobnej porze dnia, pięćset lat temu, kończyła swoją misterną robotę któraś z tych kobiet o słodkiem spojrzeniu, o rękach matowych i białych...

I wierzę mocno, że wówczas wszystkie prababki z portretów nadejdą tutaj. Przyjdą stopami drobnymi po równiutkiej ścieżce ogrodu, — otoczą mnie kołem, a każda pochyli twarz nisko, tak, że włosy nasze splączą się razem, jak motki cienkiego jedwabiu.

Szpinet, dotknięty pieścivie znajomą dłonią, zadźwięczy nutą starej piosenki...

Zegar się ocknie z zadumy i wybije dawno minioną godzinę...

Gdyż stary zegar nie umarł i wydzwania godziny swoje, — chociaż nie wszyscy to słyszą...

BIBLIOTeka	
Polskiego Towarzystwa „Oświecenia” w <u>Poniewieżu</u>	
Katalogowy Nr.	
Inwentarzowy Nr.	3278.

260406

